NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 8 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.
Prenumeratę przyjmuje W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6, telefon Nr. 507—23, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi. — Ceny ogłoszeń na Królestwo Polskie: za wiersz jednoszpaltowy pod tekstem 50 kop. — na ostatniej stronie i w miejscu specyalnie zastrzeżonem 15 kop. — ogłoszenia zwykłe 10 kop.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XIII. Kraków, 29 kwietnia 1916. **Nr. 18.**

Przed odbudową Galicyi.



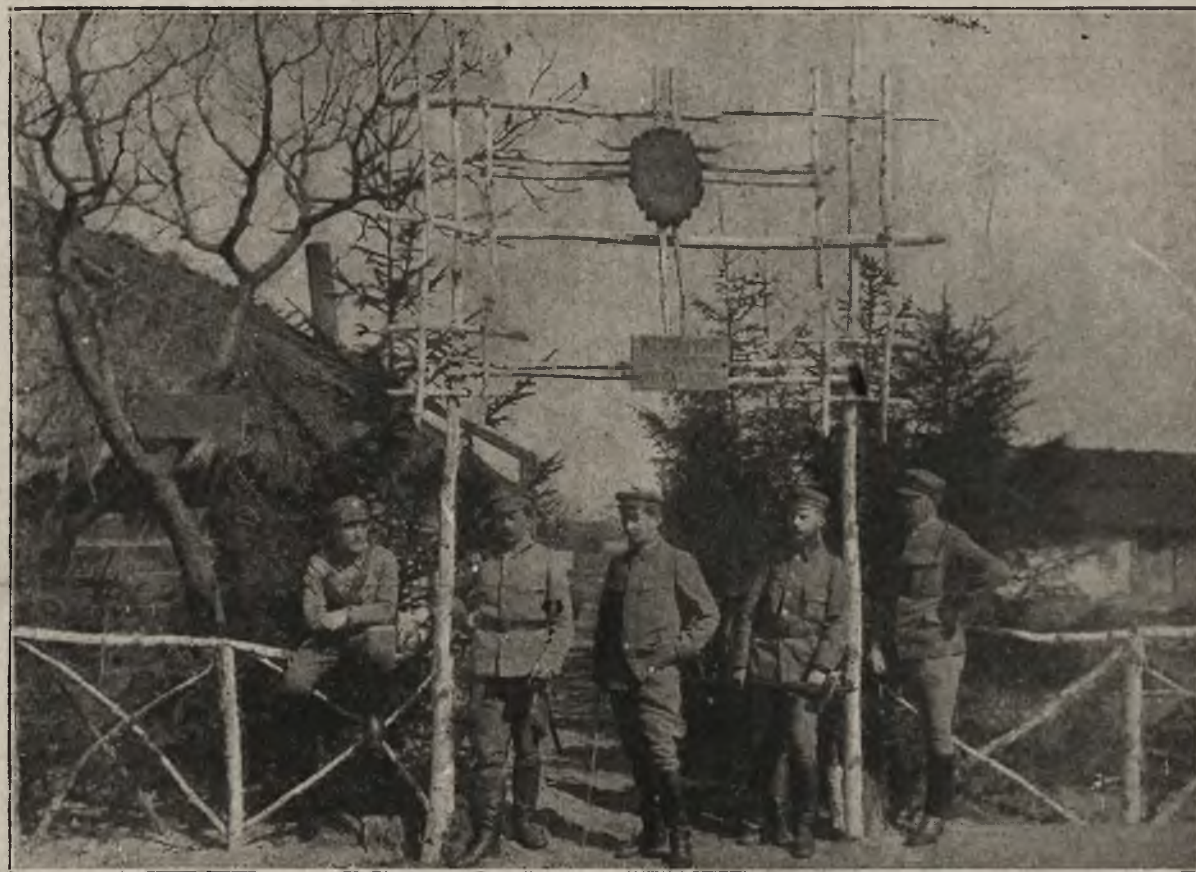
Uchodźcy po powrocie do jednego z miasteczek we wschodniej Galicyi.

Saperzy polscy.

Sniąc — w swych lepszych chwilach — zamierzchłą, lecz nieprzebrzmiałą sławę Polski orężnej — szeroki ogół polski — zwykł śnić — i słusznie! — „barwnego polskiego ułana“ i czako księcia Pepi, a już rzadziej: zasłużone, kurzem szalonych przemarszów okryte i w spiekocie walk spłowiałe granatowe kurtki piechoty; jeszcze rzadziej śnił ciemnozielone wyłogi i wypustki ponsowe, oraz białe żołnierskie ledewerki walecznej, a sławnej artyleryi polskiej. Zapoznane jednak niemal zupełnie w serdecznej pamięci szerszego polskiego ogółu — i zapoznane niesłusznie — „bermyce grenadyerskie“, naszyte z sukna ponsowego dwie na krzyż złożone siekiery z bombą gorejącą pośrodku, długie brody, fartuchy i inne odznaki „saperów pokojowych“, lub te do roku 1819. neramienniki czarne, od roku 1819. ponsowe z literą S. wyciętą i podszytą żółtem suknem, a na patrontaszach granaty o trzech płomieniach, lub czarne żelazne kaski. (używane przy sypaniu koszokopów), batalionu saperów Królestwa Kongresowego.

Przesuwając jedną za drugą świetne karty historyi polskiego czynu zbrojnego, znajdziemy tam i świetne czyny „saperów pułkowych“, „korpusu artyleryi i inżynierów“, „parków pontonierów“ i „kompanii rzemieślniczych“. Znajdziemy zrozumienie zadań saperskich u Kościuszki, u księcia Józefa i innych.

Saperzy z natury swego przeznaczenia nie odnoszą zwycięstw — ale je przygotowują; nie szarżnją i nie odpierają ataków na bagnety, lecz cała ich praca — zawsze trudna — bohaterska niejednokrotnie — zmierza do obrony twierdz, miast, pozycyi, każdego zagona ziemi, którego bronienie przewidziane jest w planie strategicznym. Wydatną pomocą służą i ułatwiają zadanie wszystkim czynnie występującym rodzajom broni. Ich przeznaczeniem — celem — marzeniem — jest zachowanie tego, o czem tak słusznie wspomina rosyjska instrukcya wojskowa dla saperów: „harmonii pomiędzy kulą a łopatą“. Biorą udział w budowie twierdz, szańce sypią, „punkty oporu“ wznoszą, wzmacniają fortyfikacye polowe, wzniesione przez piechotę, robią podkopy, budują mosty, przeprawę przez rzeki, umożliwiają armii marsze w kierunku nieprzyjaciela i zabezpieczają odwrót, długą, żmudną pracą przygotowują nagły, błyskawiczny atak, który może rozstrzygnąć o zwycięstwie. Pracują cisi — starający się stąpać, jak duchy, by nie zwracać na siebie uwagi wroga.



Saperzy polscy: Oficerowie kompanii saperów I. brygady Legionów polskich przed swoją kwaterą (Fot. kap. M. Dąbkowski).



Wozy rekwizytowe saperów I. brygady Legionów polskich w marszu.



Saperzy polscy: „Droga Piłsudskiego“, zbudowana przez komp. saperów I. brygady Leg. pol. (Fot. kap. M. Dąbkowski).



Saperzy polscy: Most na Stochodzie, zbudowany przez saperów I. brygady Legionów polskich. (Fot. kap. M. Dąbkowski.)

W czasach wojen napoleońskich, gdy się właściwie uformowało wojsko polskie, poczesne miejsce w tem wojsku znalazły i formacye saperskie. Regulaminy wojskowe i metody walk ówczesne związały na czas dłuższy — najbliżej — saperów z załogami twierdz i artyleryą. Bardzo prędko jednak nawiązane zostało ścisłe koleżeństwo broni z piechotą liniową, która dziś na swych barkach niesie główny ciężar wojny polowej, sama tylko zdobywa ostateczne zwycięstwo — i wobec której wszystkie inne rodzaje broni odgrywają rolę formacyi pomocniczych.

Pierwszą najważniejszą zasługą saperów polskich jest udział w budowie fortyfikacyi twierdz Modlina, który powstał na skutek rozkazu Napoleona i o umocnienie którego tak zabiegał książę Józef Poniatowski, Zamościa, Torunia, Serocka, Częstochowy, Sandomierza, Nowego Dworu, mostów na Wiśle i Bugu, szańców przedmostowych i tak dalej. Gdy zaczęła już blednąć gwiazda Nopoleona — wówczas gdy polscy oficerowie piechoty tworzyli tak zwane „dyabelskie“ kompanie z maruderów, rozbitków wielkiej armii, w najkrytyczniejszym może owej dziejowej

chwili momencie, kompania saperów polskich, wraz z oddziałem pontonierów francuskich, buduje przeprawę przez Berezynę. Saperzy, którzy niejednoktotnie wybiegają przed pierwsze liniowe szeregi kroczącej drogą zwycięstw armii, potrafią zejść ostatni z pola walki w bolesnem doświadczeniu porażek.

W wojnie 1831. roku praca saperów jest urozmaicona i dotyczy zarówno obrony twierdz, jak i szańców polowych.

W latach 1863—4, dzięki partyzanckiemu charakterowi ówczesnej polskiej akcyi zbrojnej, nie na wiele mogła się przydać sztuka saperska. Wiemy jednak o oszańcowanych obozach Langiewicza.

W wojnie obecnej kompania saperów, istniejąca przy I brygadzie Piłsudskiego od września 1914 r., jedyna tego rodzaju formacya w Legionach, jeśli nie liczyć oddziału technicznego przy komendzie Legionów, ma za sobą wielomiesięczne doświadczenie bojowe i czynów chlubnych sporą wiązankę. Z prac dokonanych wyliczamy tu ważniejsze:

A więc przeprawy przez rzeki: 15 - 20. września 1914 r. przez Wisłę pod Nowym Korczynem podczas bitwy, w ogniu artyleryi nieprzyjacielskiej; saperzy cofają się ostatni po przeprawieniu się pierwszego pułku na brzeg galicyjski. Dnia 21 - 22 września przez tęże wezbraną jesienną wstęgę Wisły — w odwrotnym kierunku — pod Opatowcem, czyli w miejscu, gdzie szare fale Wisły łączą się z żółtym ściegiem Dunajca. W grudniu tego roku pod Marcinkowicami przez Dunajec. Dnia 31. marca do 10. maja budowa mostów pomiędzy poszczególnymi odcinkami na froncie kieleckim nad Nidą, oraz dwu



Przed odbudową Galicyi: Obecny widok na Blich w Gorlicach



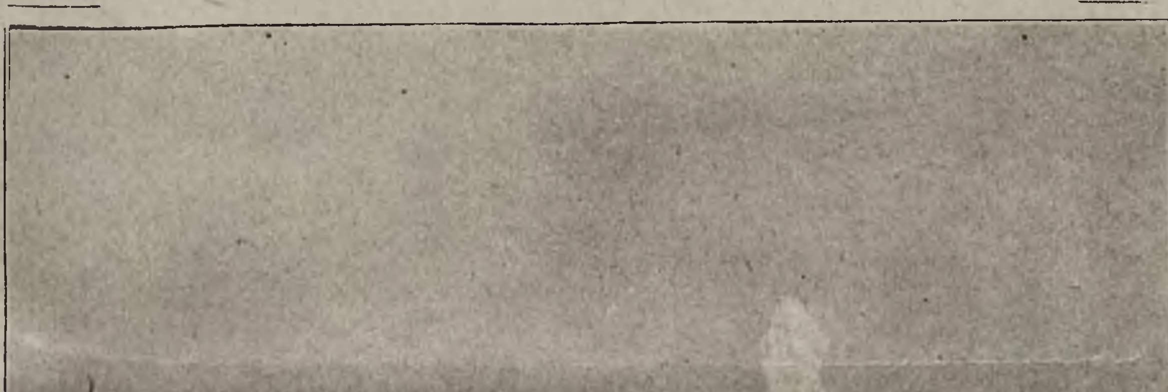


Saperzy polscy:

(Fot. kap M Dąbkowski).

Barak szpitalny w K... zbudowany przez komp. saperów I brygady Legionów polskich.

Wozy rekwizytowe kompanii saperów I. brygady Legionów polskich.



Z wojny: Wybuch bomby, rzuconej z aeroplanu do wody.

mostów przez Nidę dla ułatwienia demonstracyjnego ataku na Skowronnę. Dnia 31. maja oddział saperów bierze udział w przeprawie przez Nidę i ataku jednej kompanii 1 batalionu 1 pułku na wysunięte stanowiska rosyjskie. — Po zdobyciu okopów i wzięciu sześćdziesięciu dwu jeńców, piechota wycofała się, poczem saperzy założyli miny, wysadzili ziemianki i okopy rosyjskie i wrócili się za piechotą przez Nidę. Dopiero, gdy cały oddział znalazł się za rzeką, Moskale zoryentowali się i zaczęli ostrzeliwać cofających się ogniem artyleryjskim, ale bezskutecznie.

10. maja budowa trzech mostów na Nidzie dla przeprawy całej I brygady i oddziałów wojsk austryackich. Budowa trzech mostów na Wyżnicy w okresie walk w Lubelskiem.

Dnia 21. sierpnia budowa mostu pod Wysokiem Litewskiem, podczas bitwy, o sześćset do ośmset kroków od pozycyi nieprzyjacielskich.

Również i w okresie późniejszych walk wykonano razem z plutonem t. zw. „technicznym" szóstego pułku szereg trudnych prac saperskich, o których nie czas jeszcze pisać. Można jedynie wspomnieć o fortyfikacyach pozycyi polowych pod Laskami, po całodziennym marszu w Zaborzu, w Krzywopłotach, o 260 kilometrach drutu kolczastego, zużytego na wzmocnienie sztucznych przeszkód na odcinku Kwasków—Pawłowice; budowie mocnych przeszkód drewnianych, umocnieniu okopów, budowie ganków komunikacyjnych i daszków szrapnelowych w Kujawach (za Konarami), a w czerwcu, przed wzięciem Lublina, o okopach pod Wolicą, pod Bidzinami, Ożarowem, Tarłowem, Dziećkowicami i Urzędowem, czę-

stokroć w ogniu artyleryjskim, a nawet karabinowym, o fortyfikacyi Kowla, zajętego przez wojska austryackie, niemieckie i Legionistów, lecz zagrożonego wałęsającymi się po całej okolicy znacznymi





Przed odbudową Galicyi: Obecny widok na ulicę Stróżowską w Gorlicach

oddziałami kozaków i czerkiesów, o fortyfikacyi Kościuchnówki, dokonywanej podczas najsroższej bitwy i t. d. Wreszcie wspomnieć należy o budowie owej sławnej już dziś „drogi Piłsudskiego“, wytyczonej przez nieprzebyte bagna Polesia w kierunku z Zachodu na Wschód.

Saperzy Piłsudskiego wykazali, że tradycye honoru wojskowego polskiego w Polsce istnieją i że tradycye te obowiązują. Jak przedstawiciele innych rodzajów broni chlubią się słusznie swymi wielkimi poprzednikami, którzy sławę oręża polskiego roznieśli szeroko po świecie, tak i saperzy polscy mogą, powinni i mają też prawo, wywalczone ciężką, mozolną pracą bojową, czuć się spadkobiercami Kościuszki, Leonarda Jodki, Kołaczkowskiego. Prądzyńskiego (późniejszego historyka powstania 30 31 r.), Załądkiewicza i innych.

Lecz okazali oni również, że żyją w nich tradycye, które dotyczą honoru całości siły zbrojnej narodu. Ustępując pod Nowym Korczynem i pod Łowczówkiem ostatni z pola bitwy, kompania saperów polskich złożyła dowody, że nie jest nieczułą na ten honor, którego obronę sam Bóg miał złożyć w ręce Księcia Józefa i o którym mówią nam słowa Sułkowskiego, wyrzeczone pod Almonacid: *„Soutenez l'honneur de l'aigle blanc!“*

B. Z. Lubicz.

Przed odbudową Galicyi.

Wszystkie zmienne koleje obecnej wojny z całej monarchii najdotkliwiej odczuwa Galicya. Przeszła przez całe piekło zażartych walk, a gdy na początku wojny nawała rosyjska zalała kraj, liczne rzesze ludności musiały uciekać ze zburzonych wsi i miast. Dziś już większość tych wojennych uchodźców wróciła do kraju — nawet tam, gdzie zastała tylko zgliszcza. Taki moment powrotu dawnych mieszkańców do zburzonego miasteczka we wschodniej Galicyi przedstawia nasza tytułowa illustracya. Prócz tego zamieszczamy w dzisiejszym numerze dalsze fotografie Gorlic, przedstawiające to zburzone miasto w obecnym stanie, po uprzątnięciu gruzów. Nie ulega jednak wątpliwości, że dzięki staraniom czynników kompetentnych, rozpoczną się tam, jak również i w innych miejscowościach Galicyi, prace nad odbudową.

Jest to sprawa niecierpiąca zwłoki — tak ze względu na ciężko dotkniętą ludność, jak i interes kraju i całej monarchii. Z jednej bowiem strony sprawiedliwość wymaga, aby skończyły się wreszcie cierpienia mieszkańców Galicyi, która w najcięższych chwilach była przedmurzem Austro-Węgier wobec wroga i wytrzymała na sobie całe brzemię najazdu rosyjskiego, z drugiej zaś przywrócenie normalnych warunków życia w kraju pogranicznym leży także w interesie państwa.

Problem odbudowy zburzonych wsi i miast galicyjskich jest naturalnie bardzo trudny zarówno pod względem finansowym, jak i technicznym. Wymaga też nie tylko pomocy państwa, ale i troskliwej opieki wszystkich czynników krajowych i społecznych, które muszą wytężyć swe siły, aby wielkie dzieło zagojenia ran, zadanych wojną Galicyi, zostało przeprowadzone zgodnie z interesami i tradycyą kraju.



Przed odbudową Galicyi: Obecny widok na ulicę Cmentarną w Gorlicach.

ADAM WIARYGA-MINIESKI

Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

4

— Ale! W tym wypadku to byłoby bardzo trudno, bo jak ci już mówiłem, na tym majątku niema długów... Zresztą! Niema o czem mówić! Właścicielem tej wsi zostanę ja!

— To bardzo dobrze dla ciebie, ale co ja z tego będę miał?...

— Ty... ty dostaniesz posadę w moim majątku... Będziesz miał ładną pensyę, pod warunkiem, żebyś nic nie robił i do niczego się nie wtrącał.

— Z największą przyjemnością! Ja się tam nigdy do roboty nie rwałem... Ale, widzisz, to wszystko to dopiero będzie, a ja tymczasem muszę jeść i płacić, bo szelmy Czechy nic za darmo nie dają... Na gwałt potrzebuję pieniędzy... Sięgnijno, bracie, do głębi twojego portfelu i daj choć dwadzieścia koron...

— O! Ty pijawko! Krew wysysasz ze mnie! Znowu chcesz pieniędzy?! Dopiero przed tygodniem dostałeś!

— Wielkie pieniądze! Dziesięć koron. No, nie bądź taki twardy, przecież twoja bogata wdowa musi ci coś dawać na „biednych", a ja doprawdy jestem teraz bardzo „biedny"...

— Dwudziestu koron nie dostaniesz! Masz dziesięć koron i kwita!

— Mało! Daj piętnaście! Te pięć koron to będzie zaliczka na tę przyszłą pensyę...

— Nie zawracaj głowy! Niechże będzie, dam ci dwanaście koron, ale ani grosza więcej! Ty beczko dziurawa. Pieniądze przelatują poprostu przez ciebie...

— Zebym to ja choć dwudziestą część tego wydawał, co jaśnie pan hrabia... Ano, co robić, dobrze, że biedny człowiek choć jakąś okruszynę z tego hrabiowskiego stołu pochwyci...

— Nie bawno się w dowcipnego i zapamiętaj sobie, że ja hrabią jestem tylko dla tej hołoty, która przychodzi do mnie żebrać... Moi znajomi „z towarzystwa" znają mnie jako inżyniera Potyrowskiego...

— Rozumiem... Mógłby przecież ktoś sprawdzić, czy to w Galicyi są hrabiowie Potyrowscy... A inżynier, tak, to bardzo ładnie brzmi... Ty zawsze masz rozum...

— Dobrze... dobrze... a teraz, proszę cię, idź już, bo ja muszę także wyjść z domu...

— Już mnie niema, już znikam — zawołał Ignac, zrywając się z krzesła i chowając pospiesznie otrzymane od Potyrowskiego pieniądze — rozumiem przecież, że pan hrabia, przepraszam, pan inżynier Potyrowski, nie może się kompromitować w mojem towarzystwie na ulicy... Co prawda, to nie wyglądam wcale elegancko, a to „sak-palto" leży na mnie, jak worek na kiju...

Wskazał ręką swoje palto tabaczkowego koloru... Było ono istotnie robione na człowieka o daleko okazalszej tuszy...

Ignac westchnął i dodał:

— Cóż robić! Darowanemu koniowi w zęby się nie patrzy... Dostałem to palto od towarzystwa św. Wincentego à Paulo... Byłem także w dwóch innych komitetach... Te niemieckie „künstlerinnen" to bardzo klawe niewiasty... Dały mi nowiutki garnitur i bardzo porządne buty... Naturalnie, że to wszystko obiłem... W tych komitetach to można robić dobre interesy, ale na krótko, bo zaraz człowieka przyłapią.

— Ach! te komitety! — syknął przez zęby Potyrowski.

— Zawadzają ci, psują interes, zarobek odbierają, na żołądku ci leżą, wiem bracie... Tak, tak, trzeba ciężko walczyć o ten marny kawałek chleba... Zeń się z twoją wdową, żeń się jak najprędzej! Do widzenia!

Ignac był już we drzwiach, kiedy Potyrowski zawołał jeszcze:

— Ignac, słuchajno! Znasz ty dobrze tę Wikcię Pasternak, która tu była przed tobą?

— Ze lepiej nie można! Ona, uważasz, kocha się we mnie, bo ja mam wogóle szczęście do kobiet. To gorąca dziewczyna, czepia się człowieka jak smoła, ale mnie się już dawno sprzykrzyła...

— Hm! Proszę cię, miej ją na oku... Ona może mi się przydać, ale trzeba na nią uważać... Sprytna jest... Jakby chciała za dużo mówić, to trzeba jej zamknąć gębę...

— Dobrze, to już się zdaj na mnie... Ona za mną szaleje poprostu! A teraz adiu! Idę na czarne piwo do „Fleku".

Wkrótce Potyrowski wyświeżony, ubrany z nieskazitelną elegancyą, w nowiutkim, błyszczącym cylindrze wyszedł na miasto.

Powolnym, poważnym krokiem szedł przez ulice, na których wrzało już w całej pełni bujne życie miejskie.

Potyrowski skierował swe kroki ku „Vaclavskemu namesti", zamierzał bowiem w automacie zjeść przekąskę i napić się piwa.

Można tam było przytem o tej porze z łatwością spotkać znajomych, którzy przychodzili przekąsić coś na drugie śniadanie

A Potyrowski polował właśnie na jakiegoś „ptaszka", którego mógłby choć trochę podskubać.

Wesoła bowiem zabawa w knajpie, na którą pozwolił sobie dnia poprzedniego, pochłonęła cały prawie datek pani Krystyny.

Bar-automat był przepełniony. Konsumowano mnóstwo zakąsek, zajadano gorące kiełbaski, tak zwane po czesku „parki", popijając to wszystko doskonałem czeskiem piwem.

Potyrowski wszedłszy do baru, bystrym wzrokiem obiegł salę. Nagle szybkim ruchem ręki zerwał cylinder z głowy i podbiegł ku jakiemuś starszemu panu z okrągłą, pełną, pogodną twarzą.

Pan ten wrzucał raz po raz dwudziestohalerzówki do przeznaczonych na ten cel otworów i zajadał jedną przekąskę za drugą.

— Moje najniższe uszanowanie panu naczelnikowi!

— Szacunek, szacunek... — odparł pan, nazwany naczelnikiem, wyciągając ku Potyrowskiemu rękę — Bardzo mi miło spotkać, już tak dawno kochanego pana nie widziałem...

— Tyle zajęcia, panie naczelniku, tyle zajęcia... Doprawdy, chwili wolnej znaleźć nie mogę, aby ją przepędzić w miłem towarzystwie... Ciągle jestem na usługach innych, tu dziecko chore, tam znowu trzeba jakiej biednej kobiecie wyszukać mieszkanie, gdzieindziej znowu muszę znaleźć robotę dla któregoś z naszych wychodźców... Chwilki czasu, poprostu chwilki czasu dla siebie nie mam... Ale trudno, czegóż się nie robi pro publico bono... Pan naczelnik to rozumie najlepiej... Znaną jest bowiem gorliwość pana naczelnika w działalności społecznej i filantropijnej...

— Tak, tak, — odparł szybko pan naczelnik, który po raz pierwszy dowiedział się, że jest działaczem społecznym i filantropem — ja zawsze, panie tego... do „Towarzystwa Dobroczynności" i „Ligi przeciw żebraniu" należałem stale i wkładki opłacałem regularnie...

— O! wiem o tem — podchwycił Potyrowski — i tutaj na wychodźtwie stara się pan naczelnik robić jak najwięcej dobrego... Gdzie tylko łzy płyną, gdzie nędza dokucza, tam zaraz pan naczelnik spieszy z pociechą, z radą, z pomocą...

— E! przesadza kochany pan, przesadza — mówił naczelnik, mile pogłaskany pochwałami Potyrowskiego — Robi się, co można... Daje się wprawdzie na prawo i na lewo: to na jakąś kuchnię, to na ochronkę, to na buty, to na ubranie dla biednych dzieci... A wszyscy ze skarbonkami, z listami składkowemi tylko do nas walą, jak w dym, do urzędników... Powiem panu szczerze, ze skóry nas obdzierają... A tu wszystko takie drogie... Ot, na przykład te przekąski w automacie... Za dwadzieścia halerzy niema co na ząb położyć... Piętnaście już, panie, zjadłem i ciągle jestem głodny... Całe szczęście, że piwo takie tanie tutaj... Ale, słyszał pan, że i piwo ma podrożeć?... Ciężkie czasy, strasznie ciężkie czasy... Może kochany pan pozwoli kanapkę z majonezem... Wcale, wcale dobra... Majonez zupełnie świeży...

Potyrowski połknął w mgnieniu oka zachwalaną „kanapkę", poczem, wzdychając żałośnie, zaczął:

— Tak... tak... niezła istotnie, ale to wszystko staje człowiekowi kością w gardle, kiedy się pomyśli o tej nędzy, jaka panuje wśród naszych biednych uchodźców... Ja, panie naczelniku, odmawiam sobie najprymitywniejszych wygód, wszelkich rozrywek, aby tylko każdym oszczędzonym groszem módz przysłużyć się naszej biedocie... Nie poczytuję sobie tego wcale za zasługę... O! bynajmniej, jest to najświętszy mój obowiązek, potrzeba serca...

— Wiem... słyszałem, że pan dużo dla biednych robi... Klocia i Zuzia mówiły mi, że z pana wielki filantrop.

— Robię, co mogę, aby choć trochę ulżyć doli naszych rodaków... Ale, niestety! Wojna uszczupliła znacznie moje dochody! Pan naczelnik wie, jak to teraz jest, jeżeli ktoś nie ma rządowej pensyi...

— E! pensya! kochany panie, pensya! Wszyscy tylko o pensyach mówią, a tymczasem my, urzędnicy, cierpimy najwięcej... — usiłował bronić swojej zagrożonej pensyi naczelnik, ale Potyrowski nie dał mu dokończyć i ciągnął dalej swoje:

— Opiekuję się teraz właśnie jedną robotniczą rodziną ze Lwowa... Matka wdowa, ciężko chora, dzieci kaszlą wszystkie... Wynająłem im mieszkanie jasne, suche, słoneczne, płacę lekarza, lekarstwa...

— A możeby tę kobietę dać do szpitala? — wtrącił naczelnik — Toby nic nie kosztowało...

— A cóż poczną biedne maleństwa, pozbawione opieki matczynej... Nie! Nie, ta kobieta musi leczyć się w domu... Żeby tylko można znaleźć dobrych ludzi, którzy dopomogliby biedaczce... Trzeba koniecznie więcej opału i dla dzieci ciepłego ubrania... Ja więcej dać nie mogę, niestety, nie mogę! Jeszcze tylu innymi opiekować się muszę... Jedna panienka z Krakowa, bardzo inteligentna, z lepszej rodziny pozostaje prawie bez środków do życia...

Naczelnik rozumiał, że Potyrowski apeluje do jego kieszeni — nie miał jednak wcale ochoty sięgać do portmonetki... Usiłował więc gorliwego opiekuna „biednych" zagadać czemś innem i z wielkim zapałem począł mówić o polityce...

Potyrowski przytakiwał horoskopom politycznym pana naczelnika, dorzucał swoje uwagi, opowiadał rozmaite zasłyszane w kawiarni polityczne plotki i anegdotki... Naczelnikowi zdawało się, że już niebezpieczeństwo zażegnane, że Potyrowski zapomniał o swoich biednych wychodźcach...

Omylił się jednak... Niestrudzony filantrop po jakimś czasie powrócił znowu do dawnego tematu i począł plastycznie kreślić słowami obrazy biedy, nędzy, choroby, opuszczenia...

Naczelnikowi stało się jasnem, że od złożenia datku nie wywinie się... Z westchnieniem sięgnął po portmonetkę, wyjął papierek dziesięciokoronowy i wręczył go Potyrowskiemu.

— To, panie kochany, niechże będzie odemnie dla tych pańskich biedaków...

Potyrowski począł się znowu rozpływać w podziękowaniach i pochwałach, unosząc się nad dobrocią pana naczelnika...

Ale „naciągnięty" naczelnik stracił humor — żal mu było dziesięciu koron, a obawiał się, że jeżeli dłużej będzie rozmawiał z Potyrowskim, to okaże się konieczność nowej składki. Pożegnał się więc pospiesznie i wyszedł z baru, rzucając z ukosa niechętne spojrzenie na Potyrowskiego...

Potyrowski patrzył za nim przez chwilę, potem uśmiechnął się i pomyślał:

— Twarda sztuka! Sknera, kutwa... Co się to trzeba było namęczyć o te głupie dziesięć koron! Żeby wszyscy tacy byli, to z głodu przyszłoby umierać... Niema to, jak kobiety!...

Potyrowski wyszedł również na ulicę i zatrzymawszy się przed barem, obserwował uważnie ruch przechodniów...

Stał tak kilka minut, aż wreszcie na ustach jego ukazał się uśmiech zadowolenia. Rzucił na ziemię zapalonego przed chwilą papierosa i w kilku rączych skokach znalazł się po drugiej stronie ulicy...

Od strony ulicy Ferdynandowej szła jakaś dama, która już mocno „pod lat niewieścich schodziła południe", a ślady czasu na swej twarzy usiłowała najwidoczniej zatrzeć starannie pudrem i szminką...

W uszach damy połyskiwały tysiącem świateł brylantowe kolczyki, a u „sealskinowego" kołpaczka wystrzelał dumnie w górę prawdziwy „rajer".

Zobaczywszy spieszącego ku niej Potyrowskiego, dama uśmiechnęła się przyjaźnie...

— Witam pana inżyniera... Jakoś pan nie łaskaw teraz na mnie... Wiek już pana nie widziałam...

— Ach! Pani dobrodziejko, ten brak czasu, ten wieczny brak czasu... Ale znajdę chwilę wolną, muszę znaleźć, aby odetchnąć choć raz od tej pracy, od kłopotów, w towarzystwie pani dobrodziejki... I mnie się przecież należy jakaś przyjemność w życiu...

— No, proszę pamiętać...

— Nie zapomnę, jakżebym mógł zapomnieć... Ach! Jak pani dobrodziejka ślicznie dzisiaj wygląda, jak róża poprostu, jak róża!...

ROZDZIAŁ III.

Pani Krystyna odłożyła na stolik czytaną powieść i rzuciła niecierpliwe spojrzenie na zegar. Wskazywał dwadzieścia minut po dwunastej.

— Ach! Ta nieznośna Anielka nie przychodzi! — zawołała gniewnie. — Potyrowski i Koncewicz przyjdą wkrótce, a jej nie widać! Jak tylko zaczęła się zajmować tą tanią kuchnią i ochronką, to gościem jest w domu... Niema się kim wyręczyć nawet...

Pani Krystyna w złym bardzo humorze pobiegła do kuchni, aby skontrolować, czy się obiad Marysi udał... Chodziło jej o to, aby jedzenie było jak najlepiej przyrządzone, bo przekonała się, że Potyrowski jest nielada smakoszem i na przyrządzaniu potraw zna się, jak zawodowy gastronom...

W kuchni oczom gospodyni przedstawił się osobliwy widok.

Marysia, krępa, barczysta dziewczyna, o burakowo-czerwonej cerze twarzy, siedziała przy stole

i oparłszy głowę na rękach, zalewała się gorzkiemi łzami.

W przesyconem parą powietrzu kuchennem rozchodził się jakiś niemiły swąd, jakby przypalonego mięsa.

Jedno spojrzenie na piec kuchenny wystarczyło, aby wyjaśnić sytuacyę. Zupa uchodziła w najlepsze z garnka, a z brytwanny, na której smażyła się sarnina, dobywało się podejrzane skwierczenie i zapach spalenizny.

— Marysiu! — krzyknęła przerażona pani Krystyna.

Marysia, jak gdyby nie słyszała wcale wezwania swej pani, nie poruszyła się nawet i nie przestawała płakać.

Wobec tego pani Krystyna rzuciła się sama ratować to, co jeszcze ratować się dało... Drżała z gniewu i oburzenia.

— Taki doskonały obiad zepsuty! Co powiedzą goście, co sobie pomyśli Potyrowski?!

Chciała już wybuchnąć gniewem, ale spojrzawszy na płaczącą dziewczynę, złagodniała.

— Marysiu, czego ty tak płaczesz?! Czy stało się jakieś nieszczęście? Czy ci ktoś zachorował, umarł? Gadajże, o co chodzi!

Marysia podniosła na panią zalane łzami oczy, nie ruszając się jednak z miejsca.

— Proszę pani, mój Staszek, co służy w „landwerze", napisał mi, że tam, gdzie on teraz jest, to są bardzo dziewuchy ładniejsze odemnie! O, ja nieszczęśliwa... Napewno już go któraś „zbałamuciła". Żebym taką psiajuchę złapała, tobym jej wszystkie włosy ze łba wydarła, gębę pazurmi zorała, niechby się wtedy swoją urodą pyszniła i cudzych „narzeczonych" odbijała!...

Pani Krystyna osłupiała. Spodziewała się jakiegokolwiek innego powodu tej gwałtownej rozpaczy, ale nigdy tego, o czem się dowiedziała...

Ostygły na chwilę gniew pani Krystyny wybuchnął z tem większą siłą:

— Czyś ty zwaryowała, dziewczyno?! O takie głupstwo awantury wyprawiasz, obiadu nie pilnujesz?! Zupa wykipiała, pieczeń przypalona?!

Marysia przyjęła z największym spokojem wymówki pani, nie reagowała na nie wcale i lamentowała dalej:

— Pięć kilo mu kiełbasy posłałam! Osiemnaście paczek „tabaku"! A on teraz za innemi patrzy! O Jezu, mój Jezu, czegom się doczekała...

Tego już było zanadto dla cierpliwości pani Krystyny:

— W tej chwili zaprzestań mi tych komedyi! — krzyknęła ostro — i weź się do obiadu... I tak już z twojej łaski obiad zepsuty i to wtedy, kiedy ja mam gości! Uważaj na leguminę i paszteciki z mózgiem usmaż porządnie! Jeżeli jeszcze coś zepsujesz, to stracisz natychmiast służbę!

Zapłakana Marysia oprzytomniała nagle i, zerwawszy się nagle ze stołka, poczęła się hardo stawiać.

— Ta co mi pani grozi?! Ja niby dużo o służbę stoję! A czy ja to sobie bez służby rady nie dam! Pojadę do baraków do Chocania i tam se będę na rządowem utrzymaniu! Nie będę potrzebowała harować cały dzień, gotować, garnków „szurować", ino se będę cały dzień spacyrować, a jeść mi przyniosą! Pani myśli, że służba to straszne co!

— Milcz! — wrzasnęła pani Krystyna, całą siłą woli powstrzymując się, aby w energiczniejszy sposób nie zamanifestować swego gniewu.

Chwilę stała, trzęsąc się z oburzenia, zdołała jednak zapanować trochę nad sobą i spokojniejszym już głosem rzekła:

— Dobrze! Zaraz jutro pójdziesz sobie! Możesz skosztować tych rozkoszy w barakach, jeżeli ci do nich tak pilno. A teraz uspokój się i zajmij się obiadem, bo inaczej zaraz oddam cię policyi!

Wzmianka o policyi podziałała widocznie na hardą Marysię, bo przestała krzyczeć i powolnym krokiem podeszła do pieca, mrucząc tylko pod nosem:

— Ta mogę iść choćby i zaraz! O jej! Wielkie rzeczy. To pani ma takie twarde serce na moje utrapienia „narzeceńskie", a sama toby se chciała kaptować kawalirów dobrem jedzeniem!

Pani Krystyna byłaby może znowu wybuchnęła gniewem, ale w tej chwili dał się słyszeć w przedpokoju dzwonek.

— Mój Boże! Może to już oni! — zawołała pani Krystyna i pobiegła sama do przedpokoju otworzyć drzwi, nie czekając, aż się ruszy zadąsana Marysia.

Na szczęście nie byli to jeszcze oczekiwani goście, ale Anielka, zarumieniona ze zimna i szybkiego chodu.

Rozdrażniona zajściem ze służącą, ciotka przyjęła ją wymówkami:

— Chwała Bogu, żeś już raczyła wrócić! Ślicznie! Panna cały dzień chodzi po mieście, a w domu z niej żadnej wyręki, żadnej pomocy!

— Przepraszam ciocię — odpowiedziała spokojnie Anielka, zdejmując żakiet i kapelusz — ale nie mogłam przyjść wcześniej... Miałam dyżur w taniej kuchni do wpół do pierwszej. Nie wiedziałam zresztą, że jestem w domu potrzebna.

— Naturalnie, ty wszędzie i wszystkim jesteś potrzebna, tylko dla ciotki nie masz czasu. A mnie tymczasem głowa pęka z kłopotów!

— Co się stało, ciociu? Czy Marysia coś zbroiła? — zapytała panna, która dobrze znała ciotkę i domyślała się jakiej burzy kuchennej.

Dowiedziawszy się, o co chodzi, pospieszyła Anielka natychmiast do kuchni i zajęła się energicznie ratowaniem obiadu.

Pani Krystyna, pomna, że rychło mają nadejść zaproszeni goście, poszła zmienić szlafrok na elegancką tualetę obiadową.

Kiedy wróciła już ubrana, Anielka nadbiegła z kuchni i zaczęła pocieszać ciotkę.

— Niech się ciocia nie martwi! Jakoś będzie z tym obiadem... Wprawdzie pieczeń trochę twarda i przypalona, a zupa wodnista, bo Marysia dolała wody, zanim nadeszłam, ale paszteciki i legumina doskonałe. Już ja dopilnuję, żeby ona nic więcej nie zepsuła. Czarną kawę sama zrobię.

— Dziękuję ci, Anielko! Poczciwe z ciebie dziecko — rozczuliła się ciotka — tylko mówisz, że sarnina twarda? Mój Boże, Potyrowski tak lubi sarninę.

Anielka uśmiechnęła się i lekko wzruszyła ramionami.

— Moja droga — mówiła dalej ciotka — przebierz się jednak czemprędzej, bo oni lada chwila tu będą. Włóż tę białą jedwabną bluzkę.

— Dobrze, ciociu!

Lakoniczność tej odpowiedzi rozgniewała znowu panią Krystynę.

Umyśliła ona wyswatać Anielkę za Koncewicza i irytowała ją ta stanowcza niechęć i wyraźne lekceważenie, z jakiem siostrzenica odnosiła się do wybranego przez nią konkurenta.

— Co to znaczy to wieczne: „tak, ciociu", „dobrze, ciociu", „słucham, ciociu". Mówisz do mnie, jak do obcej! Myślałby kto, słysząc twoje odpowiedzi, że zmuszam cię do jakiej ofiary przykrej... A ja przecież chcę tylko twojego dobra... Chcę żebyś ładnie wyglądała i podobała się.

— Komu?

— No, choćby Koncewiczowi... — wyrzekła trochę wahającym się tonem ciotka.

— Nie mam wcale do tego ochoty, a zresztą w jakim celu?

— No, widzisz, moje dziecko! — zaczęła pani Krystyna, serdecznym, macierzyńskim ruchem przyciągając Anielkę ku sobie — Przeznaczeniem każdej kobiety jest wyjść za mąż, a młody Koncewicz byłby bardzo stosownym mężem dla ciebie! No i zauważyłam, że ten młodzieniec zakochał się po uszy w mojej ślicznej dziewczynce.

Anielka spojrzała przerażona na ciotkę.

— On zakochany we mnie? Chyba w tych pieniądzach, które wedle jego przypuszczeń dostanę od cioci... Ciociu droga, ciocia chyba nie myśli na seryo o tem, żebym ja mogła poślubić takiego półgłówka...

— O, proszę cię bardzo! — zawołała obrażona pani Krystyna — Koncewicz nie jest wcale półgłówkiem, to młodzieniec bardzo przyzwoity, dobrze wychowany, z eleganckiemi manierami, z dobrego domu, syn wysokiego urzędnika, mojego dawnego znajomego... A przytem agronom, więc dla panny z obywatelskiego domu partya bardzo praktyczna...

— Ach! Ciociu, on o gospodarstwie wiejskiem ma takie pojęcie, jak czteroletnie dziecko...

— I skądże ty wiesz o tem? Egzaminowałaś go może? — irytowała się pani Krystyna — Naturalnie w twoich oczach mają łaski tylko ślusarze, kowale i Bóg wie, kto tam jeszcze...

— Cioteczko, mnie bardzo przykro, że muszę cioci oponować, bo ja przecież wiem, że ciocia życzy mi jak najlepiej, że to wszystko z dobrego serca... Ale po pierwsze ciocia wie o tem, że kocham innego...

— Dosyć! Raz już powiedziałam, że nie chcę o nim słyszeć!

— Cioteczka sama wywołała tę rozmowę... Kocham go i nie zapomnę o nim nigdy, a w każdym razie nie dla Koncewicza...

Zegar uderzył godzinę pierwszą. Lada chwila mógł w przedpokoju zabrzmieć dzwonek, zwiastujący nadejście gości.

Pani Krystyna z przestrachem spojrzała na zegar i postanowiła przerwać dyskusyę...

— Będziemy miały jeszcze dość czasu mówić o tem... A teraz, Anielko, ubieraj się, ubieraj co żywo! Coby powiedział Potyrowski, gdyby cię zobaczył w tej granatowej, wełnianej bluzce... On ma taki wytworny smak...

Anielka pospieszyła do swego pokoju spełnić rozkaz ciotki, ale pani Krystyna pobiegła za nią, wołając jeszcze:

— Moje drogie dziecko, dopilnuj też, żeby Marysia włożyła czysty fartuch i nie potłukła półmisków, podając. Już ja nie chcę mówić z tą bezczelną dziewczyną! Ale, co my poczniemy bez służącej?

— Znajdziemy ciociu, z łatwością znajdziemy... Pójdziemy do towarzystwa św. Wincentego à Paulo i poprosimy, żeby nam pani przewodnicząca poleciła jaką dziewczynę. Tam tyle dziewcząt przychodzi po kartki na obiady... Myślę, że z radością każda z nich przyjmie służbę... Pójdę tam zaraz jutro.

Kiedy Anielka wróciła ubrana w białą, powiewną bluzkę z wysokim koronkowym kołnierzem, à la Marya Stuart, pani Krystyna aż klasnęła w ręce z zadowolenia i zapominając o rozmowie, jaka toczyła się przed chwilą, zawołała:

— Ach! Jak ci do twarzy, Anielko! Prześlicznie wyglądasz! Jak cię zobaczy Koncewicz, taką uroczą, to dopiero zawróci sobie głowę do reszty. Żebyś ty tylko chciała być trochę weselsza i bardziej ożywiona!

Ozwał się dzwonek. Pierwszy zjawił się Potyrowski, który, jak zwykle, wyprzedził flegmatycznego, ospałego Koncewicza.

Przyniósł różę, jedną tylko wprawdzie, ale za to ciemno purpurową, wspaniale rozkwitłą, o odurzającej woni.

Gość, składając na ręce pani Krystyny długi, pełen szacunku pocałunek, wręczył jej piękny kwiat.

— Powiedziano: oddajcie każdemu, co jego jest, więc i ja ośmielam się ofiarować pani dobrodziejce tę królową kwiatów.

Gładki frazes i zręczne pochlebstwo podobały się bardzo wrażliwej wdowie. Z przyjemnym uśmiechem wzięła różę z ręki Potyrowskiego i przypięła ją sobie do stanika.

W kilka minut później ukazał się Koncewicz. Przyniósł on również kwietną daninę, wielki pęk różnobarwnych gwoździków i podał go z głębokim ukłonem Anielce.

Panna podziękowała bardzo chłodno i szybko włożyła kwiaty do flakonu, a potem oddaliła się do kuchni, aby przypilnować podania obiadu.

Pani Krystyna z pewnym niepokojem śledziła wyraz twarzy Potyrowskiego, kiedy skosztował zupy, w której Marysia sporą ilością wody zastąpiła pożywniejsze ingredyencye, te bowiem wykipiały.

Potyrowski nie mógł ukryć lekkiego skrzywienia. Pani Krystyna spostrzegła to i dotknięta żywo w swej ambicyi dobrej i gościnnej gospodyni, podjęła zaraz kwestyę „naszych sług", aby wyjaśnić gościom usterki obiadu.

Skarżyła się na hardość i niewdzięczność służącej, którą tylko na usilne jej prośby zabrała ze sobą do Pragi.

Potyrowskiemu, kiedy posłyszał historyę o hardej Marysi, błysnęły oczy. Zapomniał o rozczarowaniu, jakie spotkało jego podniebienie. Uprzytomnił sobie, że to nadarza się doskonała sposobność do wywiązania się Wikci z obietnicy.

Wyraził pani Krystynie swoje współczucie dla jej trosk gospodarskich, a potem rzucił, jakby mimochodem:

— Mógłbym panią dobrodziejkę wybawić z kłopotu... Znam bardzo porządną służącą, pracowitą, uczciwą dziewczynę, która poszukuje służby... Gdyby więc pani dobrodziejka zechciała...

— Ależ to doskonale! — zawołała pani Krystyna — oszczędzę sobie trudu szukania...

Anielka, posłyszawszy propozycyę Potyrowskiego, drgnęła żywo, przejęta jakimś nieokreślonym lękiem. Instynktownie obawiała się wszystkiego, co pochodziło od tego antypatycznego dla niej człowieka... Nie chciała jednak obrazić gościa, więc na prędce zdobyła się na małe kłamstwo...

— Cioteczko, ja obiecałam pani prezesowej, że wyszukam służbę dla której z dziewcząt, pozostających pod opieką towarzystwa... Możebyśmy naprzód tam się rozglądnęły...

Potyrowski spojrzał na Anielkę krótko, przelotnie, ale badawczo. Miał wielką ochotę umieścić Wikcię u pani Wolskiej, ale ostrożność nie pozwalała mu okazać się zbyt natarczywym. Przytem postanowił zjednać sobie Anielkę i uśpić w niej podejrzenia, których się domyślał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zmiana w komendzie dworca krakowskiego.

W komendzie dworca krakowskiego zaszła zmiana. Dotychczasowy komendant dworca osobowego w Krakowie nadporucznik dr. Kumaniecki został przeniesiony do Lublina, a odpowiedzialny ten posterunek zajął nadporucznik dr. Julian Gertler. W tych dniach odbyło się właśnie pożegnanie ustępującego komendanta w salonie dworskim krakowskiej stacyi. Na koleżeńską tę uroczystość przybyli wszyscy oficerowie, pełniący służbę na dworcu kolejowym, z nowym komendantem nadporucznikiem drem Gertlerem, inspektor Potuczek, naczelnik stacyi Stephan, naczelnik oddziału komercyalnego starszy rewident Krug, komendant transportów polowych kapitan Kober z gronem oficerów, nadporucznik Sandig, komendant żandarmeryi fortecznej, komisarz Warczewski, kierownik ekspozytury policyjnej na dworcu osobowym i inni. W serdecznych, koleżeńskich słowach żegnali p. dra Kumanieckiego: nadporucznik dr. Gertler, inspektor Potuczek, oraz kapitan Kober, życząc mu na nowem stanowisku najlepszego powodzenia. Odjeżdżający komendant tak w gronie kolegów, jak i w kołach podwładnych, pozostawia najlepszą pamięć sumiennego, życzliwego i taktownego pracownika. P. dr. Kumaniecki podziękował za wyrażone mu słowa uznania. Grono oficerów z komendy dworca kolejowego wręczyło odjeżdżającemu piękny pamiątkowy złoty pierścień.



Z Legionów: Brygadyer Piłsudski (X) wśród Legionistów na oddziale prof. Halbana (XX) w rezerwowym szpitalu Nr. 1. w Wiedniu.



Odbudowa Galicyi: Obecny widok Gorlic z budynku gimnazyalnego.

Na pamiątkę oswobodzenia Lwowa.

Dzień 22 czerwca 1915. roku będzie pamiętnym w dziejach Lwowa i całej Galicyi. W dniu tym bowiem stolica kraju została uwolniona z pod inwazyi rosyjskiej, a do miasta wjechał uroczyście pierwszy patrol austro węgierski, obrzucony kwiatami przez mieszkańców. Dla upamiętnienia tej historycznej chwili artysta rzeźbiarz Teobald Orkasiewicz wykonał przeznaczoną dla Muzeum we Lwowie plakietę, przedstawiającą pierwszy patrol austro-węgierski przed ratuszem lwowskim.

Bochnia Legionom.

Piękną i podniosłą uroczystość święciło miasto Bochnia i powiat bocheński w niedzielę dnia 9 kwietnia b. r. W dniu tym odsłonięto w Bochni tarczę Legionów, a zarazem dokonano przeglądu pracy Powiatowego Komitetu Narodowego na ogólnem zebraniu, w dniu tem odbytem. Dzień Legionów w Bochni rozpoczął się uroczystem nabożeństwem w kościele parafialnym, odprawionem przez wiceprezesa P. K. N., ks. kanonika Bilińskiego, w czasie którego, duchem głębokiego patryotyzmu owiane kazanie wygłosił proboszcz i prałat, ks. Antoni Wilczkiewicz. W nabożeństwie wzięli udział: Delegat N. K. N. poseł Srokowski, kierownik biura Dep. Org. Smulikowski, członkowie P. K. N. z prezesem burmistrzem dr. Maissem, sekretarzem, wicemarszałkiem powiata dr. Kiernikiem, skarbnikiem p. Siemieńskim na czele, oraz liczne rzesze obywatelstwa z miasta i powiatu. W czasie mszy św. przygrywała orkiestra salinarna, kończąc hymnem: „Z dymem pożarów".

W czasie nabożeństwa uszykowały się przed kościołem wszystkie szkoły bocheńskie. Po skończonej mszy św. udały się z publicznością w pochodzie przed budynek Rady powiatowej, przy którego frontowej ścianie stanął udekorowany kiosk, mieszczący szafę z tarczą Legionów. Po przemówieniu prezesa P. K. N. otwarto tarczę z napisem: Bochnia Legionom w roku 1916 — wykonaną wedle projektu artysty K. Witkiewicza przez pana Szarneckiego. Piękna tarcza przedstawia herb miasta Bochni z orłem białym na amarantowem polu i odbitki starych pieczęci miasta. Po wbiciu pierwszego gwoździa przez dr. Maissa odegrała orkiestra pieśń Legionów, poczem przemówił przedstawiciel N. K. N., poseł K. Srokowski. Nastąpiło wbijanie gwoździ z wyrytemi nazwiskami ofiarodawców, wśród których znaleźli się delegaci miejscowego korpusu oficerskiego, starosta i radca p. Veltze, prezes Rady powiatowej A. Ruebenbauer, przedstawiciele licznych stowarzyszeń i instytucyi miasta i powiatu, wreszcie cały zastęp ziemiaństwa i obywateli. Następnie wbijała gwoździe młodzież szkół ludowych i średnich. Miarą ofiarności powiatu i miasta niech będzie fakt, że w pierwszy dzień odsłonięcia tarczy zebrano przeszło 4500 koron.



Na pamiątkę oswobodzenia Lwowa: Plakieta, przedstawiająca wjazd pierwszego patrolu austro-węgierskiego do Lwowa w dniu 22 czerwca 1915 r., wykonana przez art. rzeźbiarza T. Orkasiewicza.



Zmiana w komendzie dworca krakowskiego: Oddział komendy na dworcu osobowym w Krakowie. (X) Ustępujący komendant nadpor. dr. Kumaniecki. (XX) Nowy komendant nadpor. dr J. Gertler.

O godzinie czwartej po południu odbyło się w sali Rady powiatowej zebranie P. K. N., wieczorem zaś przedstawienie, na którem odegrało Kółko amatorskie sztukę Nikorowicza „W gołębniku".

Rocznica szekspirowska w Krakowie.

Trzysta lat mija od śmierci W. Szekspira. Wszystkie teatry w Europie obchodzą uroczyście rocznicę śmierci tego największego potentata twórczości dramatycznej.

Teatr ludowy, który pod dyrekcyą dyr. T. Konczyńskiego wyrósł na scenę bardzo poważną, wystawił „Sen nocy letniej" W. Szekspira i dzięki



Bochnia Legionom: Uroczystość odsłonięcia tarczy Legionów w Bochni. (Fot J. Gargulowa, Bochnia).

trafnemu wyborowi sztuki, jak również dzięki świetnemu opracowaniu wszystkich szczegółów tego wielkiego przedsięwzięcia artystycznego odniósł niezwykły tryumf.

Wykonanie stało na wysokości zadania. Rolę Spodka odegrał znakomicie dyr. Pilarski, dając jej niepospolitą siłę charakterystyczną, nerw i umiar w komizmie. Czarującą Tytanją była Helena Zahorska, która tą rolą dowiodła, że jest nie tylko najpiękniejszą z artystek krakowskich, ale również, że talent jej świetnie się rozwija i pogłębia. Urok poetycki, wykwintny humor, dykcya bardzo szlachetna wraz z wrodzonym wdziękiem złożyły się na kreacyę niepospolitą. Również kostyum Tytanii jest bardzo efektowny i bajeczny.

Na wielkie pochwały zasługuje pełna liryzmu szczerego p. Urbanowiczówna jak również debiutantka p. Wanda Zaleska, uczenica dr. T. Konczyńskiego. Rola Hermii pozwala wróżyć jej piękną przyszłość teatralną. Parę kochanków Lyzandra i Demetryusza odegrali z wdziękiem p. Helleński i Kijowski. Pysznymi rzemieślnikami byli panowie Biesiadecki, Minowicz, Bojnarowski, Jerzykowski i Kolwas. Również p. Grolicki i p. Horowiczowa reprezentowali parę książęcą szlachetnie i z poczuciem stylu. Bardzo dobrze wywiązała się ze swego zadania p. Czechowska jako Puk. Szlachetnym Oberonem był p. Jewasiński, którego wspaniały organ głosu oddawał wybornie piękno wiersza szekspirowskiego.

Wybornie wypadły tańce z p. Sachsówną na czele, jak również śpiewy elfów z p. Krajewską, jako solistką. Udział prof. St. Lipskiego, pianisty, w orkiestrze przyczynił się do podniesienia uroku dzieła szekspirowskiego dzięki wybornie odegranej ilustracyi Mendelsohna pod kierunkiem J. Grünberga. „Sen nocy letniej" zdobył wyjątkowe powodzenie. Wzorowe wystawienie tego arcydzieła przynosi zaszczyt dyrekcyi.



Rocznica szekspirowska w Krakowie: Grupa artystów, biorących udział w przedstawieniu „Snu nocy letniej" na scenie Teatru Ludowego





Rocznica szekspirowska w Krakowie: Sceny ze „Snu nocy letniej" w Teatrze Ludowym.

Akcya oświatowa w Królestwie Polskiem.

W rozwoju polskiego szkolnictwa w Królestwie Polskiem (na ziemiach okupowanych przez rząd austryacki) niemałą rolę odegra Jędrzejów. Tam odbyła się pierwsza konferencya nauczycielska w Królestwie — tam otwarte zostało obecnie pierwsze państwowe seminaryum nauczycielskie. Dnia 7 b. m. odbyło się uroczyste otwarcie seminaryum. W historycznym budynku poklasztornym O. O. Cystersów, niegdyś siedzibie błog. Wincentego Kadłubka, w sali przystrojonej zielenią i udekorowanej portretami sławnych mężów z dziejów polskich, zebrała się po nabożeństwie młodzież wraz z gronem nauczycielskiem. General-gubernatorstwo reprezentował radca szkolny, dr. Reiter. Z komendy obwodowej przybyli: komendant, pułkownik Hofsass z adjutantem, kapitanem Hulką, starosta Leurman i inspektor szkolny Kaczorowski. Z ramienia miasta obecny był komisarz rządowy Hubert, z ramienia Komitetu Obywatelskiego dr. Przypkowski.

Po poświęceniu budynku przemówił pięknie do młodzieży katecheta, miejscowy proboszcz ks. Marchewka, podnosząc doniosłość chwili i dziękując w serdecznych słowach inspektorowi szkolnemu, jako inicyatorowi założenia seminaryum, oraz reprezentantom rządu, którzy mimo, że nie ucichł jeszcze huk dział, nie tylko zajęli się tak szczerze szerzeniem oświaty wśród ludu polskiego, ale myślą dziś o zabezpieczeniu na przyszłość należytego rozwoju szkolnictwa polskiego przez przygotowanie niezbędnych i do zawodu należycie przysposobionych sił nauczycielskich. Pułkownik Hofsass imieniem Komendy obwodowej złożył życzenia, by „nabyte w tej szkole nauki, młodzież zużytkowała z korzyścią dla dobra swego i narodu".

Wielkie wrażenie na młodzieży wywarło serdeczne przemówienie radcy dra Reitera. W podniosłych słowach przedstawił on zadanie nauczyciela ludowego i wskazał na szczytną pracę, która czeka młodzież w przyszłości — pracą nad oświeceniem narodowem biednego, przez długie lata ciemiężonego ludu polskiego. W oczach młodzieży zabłysły łzy. Rzewną nader była chwila, gdy radca Reiter w imieniu młodzieży dziękował komendantowi obwodu za



Z wojny: Eskadra austryacka wyrusza na nieprzyjaciela.

poparcie, a inspektorowi szkolnemu za trud i pracę około założenia seminaryum i gdy młodzież odruchowo zawołała, chórem, szczerze i serdecznie „Dziękujemy!“



Polscy saperzy: Kompania saperów pierwszej brygady Legionów Polskich przy budowie mostu. (Fot kap M Dąbkowski).

Poważny nastrój uzupełniło przemówienie dyrektora zakładu, p. Gancarczyka. „Nie dla zaszczytów — rzekł — i odznaczeń tu przybyliśmy! Wiodła nas tu doniosłość chwili, doniosłość podjętej pracy dla przyszłości Ojczyzny“.

Napływ uczniów do seminaryum był tak wielki, że I rok podzielono na dwa oddziały; na III rok przyjęto przeszło 40 uczniów (w bieżącym roku otwarto tylko I i III rok). Młodzież miejscowa garnie się do nauk z wielkim zapałem. Na I rok zgłosił się chłopczyna pięcioletni, syn chłopa, który pięćdziesiąt cztery wiorst szedł pieszo z kuferkiem w ręku — „bo się chce uczyć“ — (szedł trzy dni). Przy seminaryum otwarto internat dla sześćdziesięciu uczniów. Pięćdziesięciu wychowanków otrzymuje stypendyum rządowe po trzydzieści koron miesięcznie. W dniu otwarcia seminaryum ofiarował pułkownik Hofsass na cele internatu pięćset koron i przyrzekł stałą subwencyę po dwieście koron miesięcznie.

Nauka odbywa się już zupełnie normalnie. Grono nauczycielskie tworzą: dyrektor dr. Gancarczyk, profesor seminaryum nauczycielskiego z Krakowa, Wehr, nauczyciel seminaryum z Zaleszczyk, Trznadel, nauczyciel seminaryum z Kęt, Klimczuk, nauczyciel wydziałowy z Sanoka. Nauki religii udziela ks. Marchewka, somatologii i hygieny dr. Przypkowski, lekarz miejscowy — muzyki i śpiewu nauczyciel Wąsala.

Z naszej administracyi politycznej.

Dziś, gdy wszystko zajęte jest tylko wojną i jej następstwami, gdy każdy wedle swych sił i możności stara się współdziałać z armią, broniącą granic kraju od najazdu wroga, nie od rzeczy będzie zamieścić w *Nowościach Illustrowanych* odbitkę fotografii, przedstawiającej grono urzędników departamentu wojskowego galicyjskiego Namiestnictwa, więc władzy, zostającej w bezpośrednim związku z sferami militarnemi. Dział ten naszej administracyi politycznej ma specyalnie w tych czasach szerokie pole pracy przed sobą i trzeba przyznać, z zadania swego wywiązuje się ku ogólnemu zadowoleniu, zyskując sobie uznanie sfer miarodajnych i publiczności, której interesy za stępuie.

Uzupełnienie stanu armii i jej potrzeb, zwłaszcza w czasie wojennym, jest zadaniem nie łatwem, współdziałają tu z wielkim nakładem pracy, energii, bystrości i obywatelskiego poczucia nie tylko organa wojskowe, ale także i cywilne, to jest władze polityczne i gminy. Kierujące stanowisko, skąd dla władz cywilnych wychodzą wszelkie w tej mierze zarządzenia, zajmują władze polityczne drugiej instancyi, to jest namiestnictwa i rządy krajowe.

Jeżeli w innych krajach koronnych praca ta odbywać się mogła niemal trybem normalnym, to u nas, w Galicyi, nawiedzonej bezpośrednio pożogą wojenną, administracya polityczna znalazła się w wa-



Bochnia Legionom: Tarcza Legionów w Bochni.

runkach o wiele trudniejszych i chlubą jest dla niej, że im sprostała.

W bieżącym numerze podajemy fotografię zespołu urzędników departamentu wojskowego galicyjskiego Namiestnictwa, zostającego pod światłem kierownictwem radcy namiestnictwa, Eugeniusza Swobody, odznaczonego przed niedawnym czasem za swą owocną działalność orderem żelaznej korony III. klasy.



Z naszej administracyi politycznej: Grono urzędników departamentu wojskowego galicyjskiego Namiestnictwa.

MAXIME ANDONIN.

Tajemnica umarłego.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

3

Ale w tejże chwili stała się rzecz niespodziewana.

Z lasu wybiegł murzyn zdyszany, wrzeszcząc przeraźliwie:

— Panie! Panie! Nina uciekła!

— Co? — zawołał don Lopez, blednąc silnie.

— Nina uciekła... wzięła konia... już jej niema... już daleko... na drodze. Oh! Oh! Patrzcie tam, jak pędzi...

Drżącą ręką murzyn wskazywał boczną ścieżynę, wijącą się pośród plantacyi i ciągnącą się do drogi wiodącej do Cordoby. Rzeczywiście dojrzeć jeszcze było można konia, pędzącego w cwał.

Z piersi Lopeza wyrwał się okrzyk wściekłości. Zwrócił do mnie twarz swoją zmienioną i bladą.

— Do stu szatanów! — zawołał — Jeżeli jej nie dogonię, to ty mi za to odpowiesz, podły cudzoziemcze! Upiekę cię żywcem na wolnym ogniu! A teraz, naprzód, przyjaciele! Za mną! Musimy ją pochwycić! Podawać konie!

Podczas gdy służba jego klnąc i popychając się biegła co tchu ku stajniom — Lopez ruchem ręki przywołał Indyanina, zajętego sprzątaniem butelek.

— Diego! — wyrzekł rozkazująco — Oddaję ci pod opiekę tego ptaszka. Jeżeli się ośmieli usta otworzyć, roztrzaskaj mu głowę, odpowiesz mi swoją za niego!

I nagle pod wpływem jakiejś myśli pochwycił sztylet i przyskoczył do mnie — lecz cofnął się natychmiast, szepnąwszy przez zęby:

— Jeszcze mam czas na to, senorze Francuzie. Ukończymy rachunki nasze za moim powrotem, dodawszy do nich to przymusowe opóźnienie. Życzę przyjemnej zabawy.

Sprawdził pewność moich więzów i pobiegł za towarzyszami. Po małej chwili dobiegł mnie tętent galopujących koni.

Odetchnąłem z ulgą. Jakże dzielną i odważną była panna Louviers! Wszystkie najgorętsze moje życzenia pobiegły za nią. Byleby tylko mogła ujść przed tą pogonią. I kiedy pomyślałem, że jej zawdzięczam to chwilowe ocalenie, uczułem żywszy napływ krwi do serca i przekonałem się, że ta dziewczyna staje mi się coraz bliższą.

Jednakże musiałem przyznać, że ocalenie moje było jeszcze bardzo problematyczne. Los mój zależny był od tego Indyanina, mojego przymusowego dozorcy. Był to prawdziwy okaz najdzikszego szczepu Othomi. Poznałem to po szczególnem jego przybraniu głowy, spłaszczonej z przodu, z której zwisały miejscami długie, sztywne włosy, zlepione w wałki. Twarz miał szeroką o wystających policzkach, oczy skośne i wąskie, nos spłaszczony i dolną szczękę, głęboko w tył posuniętą. Przypatrywałem mu się dosyć długo w milczeniu, badając tę twarz, wyszukując w niej iskry inteligencyi, czy uczucia, namyślając się nad sposobem porozumienia się z tą dziką i nieprzystępną duszą.

Narażając się na koniec natychmiastowy, odważyłem się wkończu do niego przemówić.

Ale przy pierwszem już słowie pochwycił duży kamień, leżący na drodze i grożąc nim, mruknął ze złością:

— Milcz, podły psie!

Wiedziałem, że tego pogardliwego epitetu używają w tych okolicach wobec Hiszpanów, których tu nienawidzą całą duszą.

— Nie jestem podłym psem! — rzekłem stanowczo, stawiając wszystko na ostatnią kartę — Jestem Francuzem, jak twój dawny pan.

Indyanin opuścił rękę, w której trzymał kamień.

— Jestem przyjacielem Niny! — ciągnąłem dalej, nabierając odwagi.

Brzydka twarz jego rozjaśniła się.

— Czy to prawda? — zapytał.

— Przysięgam ci na Najświętszą Pannę z Guadalupy!

Kamień potoczył się z jego ręki na ziemię.

— Nina była dobrą dla biednego Diega, nie uczynię ci nic złego.

— Wiesz, że ścigają ją jej nieprzyjaciele. Uwolnij mnie, abym mógł pospieszyć jej z pomocą.

— Nie mogę! Pam mój by mnie zabił.

— Uprowadzę cię ze sobą i dam ci sto piastrów.

— Nie! Nie chcę cię słuchać więcej.

Chciałem nalegać, ale on tylko potrząsnął przecząco głową i wszedł do chaty i pomimo moich próśb i obietnic nie pokazał się więcej.

Musiałem więc zdać się na łaskę losu, bo wiedziałem już, że nie potrafię go niczem przekonać.

Doznałem prawdziwego rozczarowania. Zabłysła mi na chwilę nadzieja ocalenia, a teraz uczułem się zupełnie zgubionym, bez najmniejszej możności wyjścia. W poczuciu tej strasznej bezsilności, zmuszony do odrętwiającego bezruchu i zdany tylko na pastwę najczarniejszych myśli, przeżyłem kilka niezapomnianych godzin.

Noc już zapadła zupełnie i chłód przykry przenikał moje ciało. Więzy zaciśnięte mocno wrzynały się we mnie, osłabiając obieg krwi i wywołując dokuczliwe i bolesne kłucia. Nieznośny szum w mózgu i gorączka paliła mnie coraz silniej, odbierała mi chwilami przytomność umysłu. Cisza ciążąca nad całą okolicą, zakłócona jedynie szumem palm, poruszanych wiatrem, dziwnie drażniła moje stargane nerwy. Zdawało mi się, że słyszę ciągle głuchy tętent galopujących koni i że lada chwila wyłonią się z ciemności sylwetki moich oprawców, przynoszących mi śmierć niezawodną.

Dziwię się, jak nie oszalałem tej nocy.

Nareszcie po kilku jeszcze denerwujących zawodach, dobiegło do mnie, rzeczywiste tym razem, szybkie stąpanie konia.

Z zapartym w piersi oddechem, wstrząsany gorączkowym dreszczem, wsłuchiwałem się w ten odgłos całą duszą.

Galop przybliżał się, stawał się coraz wyraźniejszy.

Ale o ile poznać mogłem, jeden tylko jeździec nadbiegał i to ze strony przeciwnej, którą pospieszyła pogoń za Niną.

Spostrzeżenie to podziałało na mnie ożywczo! Może stamtąd nadchodziła już nieoczekiwana nadzieja! Ale któż to mógł być? Wróg nowy, czy przyjaciel?

I nagle błysk radości olśnił mnie! Szalony okrzyk wybiegł z mojej piersi.

— Maryusz! Maryusz!

Mój Boże! Czy to było możliwe? Czułem jak gwałtowna radość podcina ostatnie siły moje.

Tak! tak! To musiał być Maryusz! Maryusz powracający z San-Bartolo!

— Maryusz! — zawołałem raz jeszcze rozpaczliwie — Do mnie! Na pomoc! Prędko!

Jakże lękałem się, czy dojdzie go moje wołanie, zanim ukryje się za lasem, dążąc do la Guardy.

Koń zatrzymał się!

— Wielkie nieba! To pan, panie Fontaine!

— Tak, to ja! Prędko, prędko, Maryuszu! Czas nagli! Wzruszenie było za silne na mój osłabiony organizm. Zakręciło mi się w głowie i omdlałem!

Kiedy odzyskałem przytomność, leżałem na ziemi, uwolniony z więzów. Maryusz nacierał mi skronie i wlewał do ust jakiś napój.

— Och! och! — zawołał radośnie — widząc, że otwieram oczy. Kuracya moja pomaga! No, jeszcze parę łyków i staniemy na nogi!

Podałem mu rękę z wdzięcznością.

— Mój dzielny przyjacielu! Winienem ci więcej, niż życie! Dziękuję ci. Ale teraz nie mogę więcej mówić o tem! Czas nagli! Lopez ze swoją bandą ściga pannę Louviers, która zdołała umknąć z la Guardy.

— Jakto? Bezemnie!

— Lopez ustanowił datę swojego małżeństwa na jutro! Musiała skorzystać z pierwszej nadarzającej się sposobności. Prędko, mój przyjacielu, prędko! Minuty mają dla nas wagę godzin! Jedźmy!

Powstałem z trudem, zataczając się jeszcze.

— Do dyabła! Jakoś pan niepewnie na nogach stoi!

— To nic! Na koniu odzyskam równowagę! Chodź za mną.

Na dźwięk głosów Indyanin wysunął się ze swojej chaty i stanął w progu milczący, bez ruchu.

Rzuciłem mu garść piastrów i podążyliśmy ku stajni, gdzie Maryusz wybrał dwa najlepsze konie, prosząc, abym się zajął okulbaczeniem ich, podczas kiedy on pobiegł do swojego pawilonu po broń dla siebie i dla mnie. Przygotowaną ona tam była już od dawna w oczekiwaniu pierwszej sposobności.

Załatwił się w kilka minut, rozpędził z pawilonu służbę, mogącą nas zdradzić i wkrótce, co koń wyskoczy, pędziliśmy drogą do Cordoby.

Już po kilku minutach tej szalonej jazdy uczułem, jak krew żywiej obiega zdrętwiałe moje członki, i reguluje leniwe bicie serca. Organizm mój nabierał dawnej sprężystości i siły.

Pochyleni nad szyjami koni, biegliśmy coraz prędzej, podniecając zwierzęta głosem i ostrogą. Po dobrej godzinie zwolniliśmy trochę, aby im dać odetchnąć i wtedy Maryusz zwrócił do mnie spokojną swoją twarz, mówiąc:

— Nie lękam się o Nidę. Wzięła najwytrwalszego konia ze stajni la Guardy, Boba, nieporównane w szybkości zwierzę. On się nie da prześcignąć Lopezowi, ręczę za niego! A przytem już dobry kawał drogi musiała ujechać, zanim pościg za nią wyruszył. A gdyby nawet dogonić mu się ją udało, to ją na razie przyprowadzą do la Guardy, skąd znowu będzie mogła drapnąć, ale tym razem ze mną. Więc w razie, gdybyśmy spotkali się z tą bandą opryszków, prowadzących dziewczynę...

— Napadniemy ich! — zawołałem.

— Napadniemy! — powtórzył rozradowany Maryusz. — Jak to dobrze tak się porozumiewać półsłówkami.

— Przypuśćmy jednak, że panna Louviers bez przeszkody podąży do Cordoby, gdzież uda się następnie?

— Mieliśmy zamiar wsiąść na pociąg, idący do Vera-Cruz, a stamtąd parowcem odpłynąć do Francyi.

— Jeden tylko parowiec odchodzi raz na miesiąc, dwunastego.

— Wiem o tem. To też mieliśmy opuścić la Guardę z końcem tygodnia, aby przybyć na czas właściwy do portu.

— Ale że plan ten uległ zmianie, musimy obecnie liczyć się z inną ewentualnością i pomyśleć nad tem, gdzie uda się panna Louviers, jeżeli pochwycona nie zostanie?

Maryusz zastanowił się.

— To prawda. Ta nieświadomość nasza jest niepokojąca. Ale może dowiemy się czego po drodze. Dziwi się pan temu? Zaraz to wyjaśnię. Trochę powyżej Huatusco, w la Vega, jest fabryka. Jest tam restauracya, której właścicielem jest pan Dupois, przyjaciel i współziomek pana Louviers i mój również. Możliwem jest, że nasza Nina u niego poszukała schronienia. Przekonamy się wkrótce, czy przypuszczenia moje są słuszne.

Maryusz zamilkł i popędziliśmy konie, zmuszając je do pierwotnego biegu.

O godzinie siódmej rano stanęliśmy w Huatusco. Banda Lopeza przejeżdżała tamtędy, jak nas poinformowano. w nocy.

W la Vega dowiedzieliśmy się od pana Dupois, że Nina zatrzymała się na krótko u niego, wymieniła tylko Boba na świeżego konia i pojechała dalej. Była zaopatrzona w poważną sumę pieniędzy i jechała przez Cordobę do Meksyku, gdzie miała obmyśleć dalszy plan podróży.

Pan Dupois wierzył w dobry skutek ucieczki Niny, bo, jak sądził, pozostawiła swoich prześladowców daleko za sobą, a koń, wybrany przez niego, nie był o wiele gorszy od Boba.

Nasz sympatyczny współziomek i nam dostarczył świeżych koni i po kilkuminutowym wypoczynku ruszyliśmy dalej.

O czwartej godzinie po południu, wytchnąwszy tylko po drodze na krótko w jakiejś wsi, znajdowaliśmy się w odległości kilku mil od Cordoby.

Jechaliśmy już teraz ostrożniej. Od czasu do czasu Maryusz zeskakiwał z konia i przykładał ucho do ziemi, bacznie nadsłuchując. Tym sposobem mogliśmy się przekonać, czy droga jest wolna i strzegliśmy się przed nagłem zaskoczeniem nas przez naszych wrogów. Już kilka razy wykonał ten manewr, kiedy nareszcie wyprostował się uradowany.

— Baczność! — zawołał — nadjeżdżają!

W mgnieniu oka ukryliśmy konie nasze w gęstwinie i starannie zakapturzyliśmy je, aby parsknięciem nie wydały naszej kryjówki i stanęliśmy na czatach, ochronieni gąszczem zbitych krzewów, okrywających dużą skałę. Miejsce nadawało się znakomicie do zasadzki.

Z poza tego wału ochronnego, uzbrojeni w nabite rewolwery i karabiny kilkostrzałowe, byliśmy panami sytuacyi. Każdy strzał, wymierzony przez nas, powinien był odnieść zamierzony skutek.

Postanowiliśmy jednakże przystąpić do ataku tylko w razie, gdyby bandyci uprowadzali ze sobą pannę Louviers.

— Gdyby tak było w rzeczywistości — myślałem — mógłbym za chwil kilka być w posiadaniu tajemnicy młodej dziewczyny, inaczej przez jakie trudy i niebezpieczeństwa przejść będę jeszcze zmuszony, zanim uda mi się z nią spotkać.

Żadne słowa nie zdołają opisać gorączkowej niecierpliwości mojej, z jaką wyczekiwałem ukazania się upragnionej kalwakady.

Choć nie widzieliśmy jej jeszcze, słyszeliśmy wyraźnie rozlegające się głucho wśród wązkiego wąwozu, okolonego skałami, echo kopyt końskich, bijących o twardą ziemię.

Nareszcie wyłonił się jeden jeździec, potem drugi.

trzeci... Niestety! Nie było Niny między nimi. Kiedy ich naliczyłem siedmiu, westchnąłem zawiedziony.

Lopez jechał na czele ponury i milczący. Twarz jego ciemną wykrzywiał kurcz wściekłości. Rozmyślał zapewnie nad porażką swoją i planem odwetu, skierowanym na moją głowę. Przez minutę namyślałem się, czy jednym celnym wystrzałem nie pozbyć się na zawsze tego niebezpiecznego wroga i przeciąć pasmo jego zbrodni. Trzymałem życie jego na końcu lufy mojego rewolweru. Jeden strzał, a będę uwolniony od niego i w możności dalszego swobodnego działania.

Ale przecież to było straszne zabijać tak z zimną krwią człowieka, choć był nim wróg mój najzaciętszy, nieprzygotowanego do walki!

Pozostawiłem więc Lopeza w spokoju.

Ale w niedługim czasie z własnej jego przyczyny byłem zmuszony pożałować tego nagłego odruchu wspaniałomyślności.

Cała banda przedefilowała przed naszą kryjówką. Wszyscy jechali w milczeniu, pochyleni zmęczeniem nad siodłami. Czekaliśmy, aż odgłos kroków koni zgubi się w ciemnościach i wtedy dopiero wsiedliśmy na siodła i odjechali w przeciwnym kierunku, ku celowi naszej podróży.

W godzinę później wjechaliśmy do Cordoby, gdzie umieściliśmy konie nasze u znajomego pana Dupois. Panna Louviers już nas tam wyprzedziła. Dowiedzieliśmy się również, że wsiadła na pociąg, idący do Meksyku, ale nikogo nie wtajemniczyła w dalsze swoje plany.

Nina była uratowana i uszła rąk don Lopeza, ale myśmy stracili ślad jej zupełnie.

— Co pan zamierza uczynić? — zapytał Maryusz, widząc moje zgnębienie.

— Jadę za nią do Meksyku! — odpowiedziałem — Czy chcesz mi dalej towarzyszyć, mój przyjacielu?

Dzielny człowiek uścisnął gorąco moją rękę.

— A pewnie, że jadę z panem! — zawołał radośnie — Gdzieżbym teraz dążył bez pana i Niny? Louviers już nie żyje, a nie mam nikogo blizkiego, oprócz jego córki. Będzie nas teraz dwóch do szukania jej, a sądzę, że to nam obu będzie na rękę — nieprawdaż?

Następny pociąg uwoził nas do Meksyku.

Stracony ślad.

Wuj mój, zawezwany telegramem, oczekiwał na mnie na dworcu. Przedstawiłem mu mojego nowego przyjaciela Maryusza i w kilku słowach wtajemniczyłem go w całą sprawę. Najpilniejszą rzeczą teraz było odnalezienie panny Louviers. Musiała zapewnie jeszcze nie opuścić Meksyku.

Don Rubio zaprowadził nas dyskretnie do dyrekcyi policyi, gdzie szef, odebrawszy od nas wskazówki potrzebne, wydał rozkaz śledzenia panny Louviers na dworcach, hotelach i u właścicieli wynajmu koni. Następnie zredagował notatkę, mającą być umieszczoną we wszystkich miejscowych dziennikach i wysłał odpowiednie telegramy na całą linię kolejową Meksyku. Jednem słowem uczynił wszystko, aby nam dać możność pochwycenia śladu panny Louviers.

Przy pożegnaniu przyrzekł nas zawiadomić bezzwłocznie, jak tylko jakakolwiek wiadomość nadejdzie do policyi. Z tej strony więc byliśmy zupełnie zabezpieczeni. Powróciłem więc z wujem do jego mieszkania, gdzie obszerniej opowiedziałem mu moją znajomość z panną Louviers.

Don Rubio wyjawił mi wówczas fakt dla mnie nieprzewidziany i najwyższej wagi, tłumaczący dostatecznie nienawiść, którą don Lopez żywił do mojej osoby i odpowiedź jego daną don Ramonowi, tyczącą się moich stosunków rodzinnych.

Otóż don Miguel Lopez był niegdyś narzeczonym mojej matki.

Prawie w przededniu zawarcia małżeństwa, niedobre wieści, naruszające honor i uczciwość ich przyszłego zięcia, doszły do dziadków moich. Chodziło tu o jakąś brzydką historyę oszustwa i nadużycia zaufania, w której don Lopez odegrał główną rolę. Dziadkowie, poinformowawszy się lepiej, przekonali się, że ten człowiek nie był godnym zostania mężem mojej matki i zerwali ten związek, wypowiedziawszy mu otwarcie przyczynę.

I wtedy Lopez miał grozić i zaprzysiądz nienawiść i zemstę całej mojej rodzinie.

I jeżeli w kilka lat później, w Paryżu, tem środowisku awanturników całego świata, gdzie instynkta jego i żądza lekkiego życia — popchnęły go w pieniężne kłopoty, groźby swoje zapragnął urzeczywistnić, wynikiem czego było zamordowanie mojego ojca i matki — nie zdziwiłoby mnie to wcale. Musiał wymyśleć jakiś szatański wstrętny, a widząc, że nie osiąga zamierzonego skutku — postanowił wszystko na ostatnią kartę i dopuścił się morderczego czynu. Wiedziałem, że człowiek ten zdolny jest do wszystkiego, bo sam miałem na sobie tego dwukrotne dowody.

Wuj mój Rubio, znający doskonale usposobienie, charakter i sposób myślenia mojej matki, ani na chwilę nie przypuszczał nigdy, aby była w stanie targnąć się na własne życie. Nie miała do tego po pierwsze powodu, gdyż pożycie jej z moim ojcem było pasmem jednej radości i szczęścia, po drugie zanadto była wierzącą i religiją, by takim ciężarem obciążać swoje sumienie.

— Została zamordowaną z wszelką pewnością! — twierdził don Rubio. — Było to zawsze moje przekonanie i nie zmieniło się z czasem. Sądzę, że i ty myślałeś zawsze w ten sposób?

— Ależ naturalnie, mój wuju! — zawołałem gorąco.

Podniosłem jednak niewyjaśniony fakt, który od początku zbudził moją uwagę, a który był wynikiem pośmiertnego badania. Sześciogodzinny przeciąg czasu dzielił te dwie tajemnicze śmierci. Należało chyba tylko przypuszczać, że don Lopez, jeżeli on to był mordercą, miał straszną odwagę po dokonaniu pierwszej swojej zbrodni ukryć się w domu i po sześciu godzinach dokonać drugiej! Jakże ten człowiek wszystko z zimną krwią obmyślił i w jakim celu?

— Lub też może — zaopiniował wuj Rubio — zdał drugą część swojej morderczej czynności komuś innemu, jakiemu wspólnikowi, wprowadzonemu poprzednio do domu rodziców twoich, a należącego może do służby.

Drgnąłem na te słowa. I nagle, jakby za zdarciem zasłony, ujrzałem twarz wyłaniającą się z chaosu moich wspomnień, coraz wyraźniejszą, tak bardzo podobną do twarzy owej nieznajomej, uciekającej przedemną na pokładzie „Nawarry“. Tej właśnie, którą po dłuższem ukrywaniu się przedemną ujrzałem w porcie Hawanny w towarzystwie Lopeza i jego siostry.

Opisawszy dokładnie powierzchowność panny służącej, zwróciłem się do Maryusza z zapytaniem:

— Czy nie wiesz, mój przyjacielu, jakie imię nosiła ta osoba?

— Manuela — brzmiała odpowiedź.

Manuela! Tak! Teraz wiedziałem wszystko! To była Manuela, ostatnia panna służąca mojej matki, która weszła do naszego domu na kilka tygodni przed dokonaniem zbrodni!

Była ona pierwszym świadkiem, zawezwanym jeszcze tego samego dnia, a że władała tylko hiszpańskim językiem, ja dobrowolnie podjąłem się roli tłumacza wobec urzędnika policyjnego, prowadzącego śledztwo. Odebrano od niej tym sposobem kilka wyjaśnień, zresztą nie posiadających większej wartości. Twierdziła stanowczo, że nie widziała i nie słyszała nic szczególnego. Rano tylko, wchodząc do sypialni, zastała panią leżącą bezwładnie na łóżku, trzymającą w zaciśniętej ręce niedużą flaszeczkę. Co zaś do stosunków towarzyskich pani, osób odwiedzających ją, nie wiedziała nic zupełnie, nie rozumiejąc wcale języka francuskiego, używanego w tym domu, tembardziej, że dopiero od krótkiego czasu objęła tę nową służbę.

Maryusz objaśnił mnie, że ta Manuela towarzyszyła senorze Dolores, kiedy ta, zostawszy panią Louviers, zjechała do la Guardy i że pomiędzy służącą a panią istniał stosunek dziwnie poufały, pozwalający się domyślać, że kobiety te łączyła dawna już zażyłość lub wspólnictwo jakieś.

Od tej chwili nie miałem już żadnych wątpliwości. To była ta nędznica, która, umieszczona przez Lopeza w domu moich rodziców w celu szpiegowania ich — podsunęła trucizną mojej matce, a następnie zainscenizowała scenę samobójstwa.

W ten sposób upadało hańbiące podejrzenie, ciążące na pamięci matki mojej. Ale równocześnie zwiększał się ogrom przewinień kasyera mojego ojca, bo przecież jasnem teraz było, że temu człowiekowi nie obcym być musiał dramat, odegrany przez osoby z jego najbliższego otoczenia. Jeżeli nie przyłożył ręki do dokonania grabieży kasy, będącej pod jego osobistym dozorem, to w każdym razie był w jakiejś części wspólnikiem tych łotrów i wiedział o wszystkiem. Ale dlaczego zamilczał, kiedy podejrzenie jedynie ku niemu zwrócone zostało i mógł ponieść karę za tamtych?

Dowiedziawszy się od wuja tych różnych ważnych szczegółów, które nareszcie popchnęły mnie na właściwy tor dociekań, tem goręcej zapragnąłem rozmowy z depozytorką tajemnicy panna Louviers.

Na nieszczęście wszystkie wysiłki policyi, skierowane celem odszukania młodej dziewczyny, okazały się próżne, a ja straciłem tylko tydzień bardzo cennego czasu.

Przypuszczać mogliśmy tylko tyle, że Nina nie zatrzymała się w Meksyku, tylko podążyła prosto do New-Jorku, skąd odpłynęła do Francyi.

Maryusz twierdził z całem przekonaniem, że tylko tak się stać musiało, a że on był najlepiej poinformowany co do planów panny Louviers, musiałem i ja pójść za jego zdaniem.

Nie pozostawało mi więc nic innego, jak tylko udać się do Francyi. Pożegnałem wuja Robra i odjechałem do Nowego Jorku. Przybywszy tam, pospieszyłem natychmiast do towarzystwa żeglugi i zamówiłem dla mnie i Maryusza dwa miejsca na pokładzie „Bretanii“, odpływającej nazajutrz do Hanoweru. Panna Louviers nie była zapisana na listę pasażerów tego okrętu, ani poprzedniego, który odpłynął o tydzień wcześniej. Nie zrażając się tą wiadomością, udałem się do wszystkich agencyi cudzoziemskich i odkryłem nareszcie, że wsiadła na „Ryndam“, holendersko-amerykański statek, dążący do Boulogne. Statek ten, jak mnie poinformował urzędnik, przybył do miejsca przeznaczenia już onegaj. Niepodobieństwem było skomunikować się z uciekającą. Istotne nieszczęście prześladowało mnie w tym pościgu!

I znowu rozpoczynała się ta nieznośna i denerwująca gra w chowanego, trwająca już tyle czasu. Byłem wściekły, ale Maryusz ze swoim niezachwianym spokojem starał się mnie przekonać, że jesteśmy na jak najlepszej drodze.

W ośm dni później wysiadaliśmy w Paryżu na dworcu Św. Łazarza z silnem postanowieniem zakończenia tutaj naszej epopei.

Zwróciłem się spiesznie do pana Parpaing, dyrektora policyi prywatnej przy ulicy Chateaudun. Był to dawny urzędnik policyi rządowej, człowiek wielkich zasług i zdolności, tak potrzebnych w tym trudnym fachu.

Opowiedziałem mu zatem, co skłoniło mnie do korzystania z jego usług, nadmieniając, że nie liczę się z żadnymi kosztami, aby jak najprędzej dopiąć zamierzonego celu i dałem mu wszelką swobodę działania. Wysłuchał mnie uważnie, nie przerywając, notując tylko od czasu do czasu słowo jakie, następnie, gdy skończyłem, przeczytał głośno wyciąg swoich spostrzeżeń.

— Panna Louviers znajduje się we Francyi, właściwie w Paryżu i szuka pana z tą samą niecierpliwością, jaką pan okazuje. Poszukuje jej również Lopez.

— To jest prawdopodobne.

— To jest pewne. Ten człowiek nie porzuci tak łatwo swojej zdobyczy, przedewszystkiem dlatego, że jest zanadto interesowny, następnie z obawy przed zeznaniem młodej dziewczyny. Sam pan przekonałeś się, jak bardzo mu zależało nie dopuścić do waszego porozumienia się. Już dwukrotnie usiłował pana uczynić nieszkodliwym i jestem pewny, że walczyć będzie do ostatniego tchu. Zaręczam, że jest już w drodze do Francyi i przedsięwziął wszelkie środki celem zabezpieczenia się przed panem. Wygrana więc pana zależy obecnie wyłącznie na pośpiechu. Na razie ma pan nad nim przewagę, o ile mi się zdaje kilku dni. Ale on będzie lepiej poinformowany od pana o stosunkach rodziny Louviers i jej znajomościach paryskich i odgadnie łatwiej, u kogo mogła się schronić młoda dziewczyna.

— O to właśnie lękam się najbardziej — zawołałem — Tu leży całe niebezpieczeństwo!

— Ma pan słuszność, ale to niebezpieczeństwo przedstawia nam pewne korzyści.

— Jakże to być może?

— Jak? Oto widzi pan. To znaczy, że pilnować będziemy skrupulatnie przypływ statków z Meksyku do Beulogne, Hawru, St. Nazaire. W ten sposób ptaszek nam nie umknie. Natychmiast po wylądowaniu zajmą się nim moi agenci i nie tylko nim, ale każdym, ktoby wszedł w jakąkolwiek z nim styczność. A przedewszystkiem tym sposobem zapobiegniemy nowej jakiej jego zbrodni, bo że nie przybywa tu w pokojowych zamiarach, to pewne.

— Doskonale pan to wszystko obmyślił.

— Mam nadzieję, że plan mój się uda. Mam kilku dzielnych ludzi, na zręczności których polegać zupełnie mogę. Nie mówiłem jeszcze panu, że mamy przytem niezły atut w ręce.

— Nie rozumiem pana.

— Zapomina pan o cennych wskazówkach, które dać nam mogą akta sądowe sprawy Fontaine. Musiał pan zachować choć kilka sprawozdań umieszczonych w dziennikach swojego czasu?

— Wszystkie numera dzienników omawiających tę sprawę są w mojem posiadaniu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zgon dziennikarza.

W Krakowie zmarł w tych dniach w 31. roku życia dziennikarz warszawski, ś. p. Konrad Sadowski. Zmarły od lat kilku przeniósł się ze względu na chorobę piersiową do Zakopanego, gdzie przez kilka lat zamieszkiwał, zasilając pracami swemi pisma polskie. W ostatnich miesiącach choroba rozwijać się zaczęła gwałtownie. Przewieziony do Krakowa uległ wreszcie niemocy i zakończył swe młode życie.



Zgon dziennikarza: S. p Konrad Sadowski.



Akcya oświatowa w Królestwie Polskiem: Otwarcie seminaryum nauczycielskiego w Jędrzejowie. 1) Kom. obw. pułk. Hoffsas, 2) dr. Reiter, 3) starosta Leurman, 4) dyr. Gancarczyk.



Dzieci wesołej Muzy w okopach: Znany artysta kabaretowy, kapral Kaliciński (X), przed swą „willą“ w polu.

Skutki wojny.

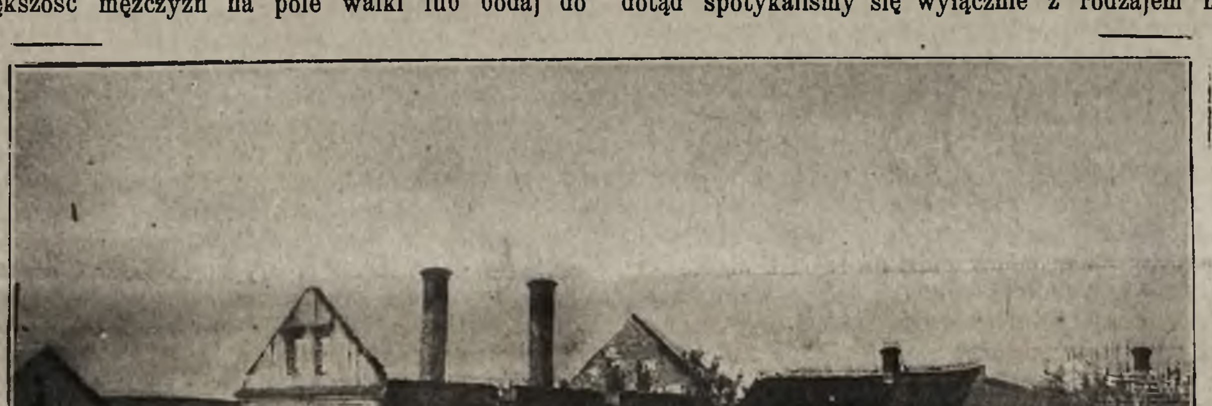
Gdy obowiązek powołał w wojennym czasie większość mężczyzn na pole walki lub bodaj do świadczeń wojskowych, w wielu dziedzinach okazał się brak rąk do pracy, któremu trzeba było koniecznie w jakiś sposób zaradzić. Miejsce konduktorów i motorowych przy tramwajach zajęły więc kobiety i wywiązują się doskonale ze swego zadania, tu i ówdzie zasiadły one i na kozłach pojazdów publicznych, słowem wdarły się wszędzie tam, gdzie dotąd spotykaliśmy się wyłącznie z rodzajem męskim pracowników. Zwolennicy równouprawnienia obu płci tryumfują więc, gdyż utrzymywali, że kobieta może zawsze i wszędzie zastąpić mężczyznę z równie dodatnim skutkiem.

W krakowskim Zakładzie czyszczenia miasta spotykamy się też coraz częściej z funkcyonaryuszkami, które „uzbrojone“ w potężne miotły, pracują z zaparciem się nad usunięciem kurzu i błota, co przed wojną było wyłącznym przywilejem płci, tak zwanej „brzydkiej“.

Nic też dziwnego, że i Kraków wobec tego zaczyna teraz wyglądać coraz... ładniej.



Skutki wojny: Funkcyonaryusz krakowskiego zakładu czyszczenia miasta przy pracy.



Przed odbudową Galicyi: Zburzone domy w Nadbrzeziu

Dzieci wesołej Muzy w okopach.

Bezwzględny Mars rozerwał niejedne śluby. Poszli również na jego służbę i adepci wesołej Muzy, a między innymi znany artysta kabaretowy, ceniony humorysta W. Kaliciński. Ale i w tych tak odmiennych warunkach wytrwał on na swem dawnem stanowisku, nie tracąc nawet w okopach swego humoru. Najlepszem tego dowodem kartka, jaką zamieszczamy w dzisiejszym numerze. Przedstawia ona p. Kalicińskiego w okopach wśród towarzyszów broni, a po drugiej stronie zawiera nadesłane pozdrowienie tej treści:

W krainę „kart chlebowych“ i wygodnych łóżek
Ślę pozdrowienie dla Druhów i.. Drużek!...
Bojownikom — o „karty“ walczącym zawzięcie,
Przesyłam jedną „kartę“ — lecz tym razem zdjęcie:
Przed moją „willą“ do pierwszego słońca

W. Kaliciński, ojczyzny obrońca,
ces. i król. kapral dość fertyczny,
w wolnych chwilach artysta...
choć nie dramatyczny...! —

Kronika tygodniowa.

Ze względu na to, że święta Wielkanocne są już za nami i kronikarz odetchnął, niestety, nie może w niniejszym numerze złożyć sprawozdania, jak czas ten spędził, gdyż już od czwartku ubiegłego tygodnia cała drukarnia śpiewała „Gorzkie żale“, t. j. wołała o skrypt do następnej kroniki. Broniłem się, jak mogłem, tłumacząc, że nie mam jeszcze zebranego materyału, wkońcu musiałem ustąpić, gdyż zagrożono mi, że numer wobec tego się spóźni, jeśli kronika najdalej w sobotę nie będzie złożona. A do tego nie mogę dopuścić, choćby tylko ze względu na Czytelników, którzy z takiem utęsknieniem czekają co tydzień na pojawienie się *Nowości*.

Ale o czem pisać, gdy mi jeszcze szumi w głowie poprzednia kronika, bardzo żałosna, jak przystało na ostatnią wielkopostną... Do niniejszej zabieram się w sam Wielki Piątek, a muszę się spieszyć, przyjaciele polityczni czekają bowiem na mnie z tradycyjnym śledzikiem i pieczonymi ziemniakami. W dniu tym obiadu się w domu nie dostaje, otrzymuje się natomiast pozwolenie powrotu nieco później, niż zwykle.

Weronisia, wyprawiając mnie rano z domu, wyraźnie powiedziała:

— Dziś możesz nie przychodzić na obiad, bo go w domu nie dostaniesz. Zjedz w mieście, ale pamiętaj, byś nie wrócił zawiany...

— Moja kochana! — ja jej na to — Ja tam prorokiem nie jestem i nie wiem, co będzie. To jedno jest pewne, że pójdę na śledzia, a wiesz chyba, że śledź jest rybą, więc musi pływać...

To przynajmniej dobre, że po ostatniej mej kronice pogoda się stanowczo poprawiła, śnieg zniknął z ulic ze wstydem, plantacye pokryły się świeżą zielonością, nie zawierającą w sobie, według orzeczenia chemika miejskiego, ani odrobiny arszeniku. Widocznie w niebiesiech zmieniono referenta od pogody, bo tamten nie znał się wcale na tym fachu.

Z pogodą poprawia się powoli i humor, z humorem zaś apetyt i pragnienie. To tylko bieda, że dziś ani jednego, ani drugiego zaspokoić należycie nie można, już choćby tylko ze względu na Wielki Piątek, więc czas, przeznaczony na umartwianie ciała i ducha. Niema więc złego, któreby nie wyszło na dobre, ale niema też i dobrego, któreby pozbawione było zupełnie ciemniejszych stron.

W pierwszym rzędzie muszę się zwrócić do tych P. T. Czytelników i Czytelniczek, którzy byli tak na mnie łaskawi i raczyli zaprosić mnie do siebie na święcone. Dotychczas otrzymałem tych zaproszeń dwieście siedmdziesiąt sześć i to nie tylko z Krakowa, ale z całej Galicyi a nawet z poza jej granic. Niestety, nie będę mógł z nich skorzystać, gdyż brakłoby mi czasu, nie chciałbym zaś jednych wyróżniać, drugich postponować. — Dla mnie są wszyscy jednakowo warci, ponadto nie lubię niepotrzebnie drażnić swych bliźnich, wiedząc dobrze, ile wart jest spokój domowy i równowaga umysłu i ducha.

W każdym razie konstatuję z przyjemnością, że w społeczeństwie naszem nie wygasła jeszcze cnota staropolskiej gościnności, która potrafi rozgrzać nawet przyjęcie zimnemi przekąskami, dziękuję też wszystkim, którzy mnie przy swym stole widzieć pragnęli, za łaskawą pamięć i przepraszam, że zrobiłem im zawód. Niechaj jednak każdy wychyli jeden kielich więcej za zdrowie i na pomyślność kronikarza, który znów ze swej strony obiecuje solennie, że w zaciszu domowego ogniska wysuszy niejedną flaszczynę na Ich cześć.

Na wszelki wypadek przez kilka ostatnich dni trenowałem się w tym kierunku i mogę z czystem sumieniem powiedzieć, że potrafię sprostać zadaniu, bo to i za kołnierz nie wyleję i pały tak prędko nie zaprószę.

Program na świątalne dni ułożyłem sobie już z góry, nie wiem przecież, czy uda mi się go wykonać w całej pełni, bo nieraz czyhają na człowieka różne okoliczności, które paraliżują najpiękniejsze zamiary.

Jak na wiernego katolika przystało, w Wielką Sobotę wezmę udział w rezurekcyi, aby potem, powróciwszy do domu, o ile Weronisia pozwoli, dać buzi szyneczce, którą przecież udało mi się nabyć prawie na wagę złota. Do słodyczy nie wzdycham, zostawiając je sobie z zasady na życie przyszłe. Zresztą w tym roku trzeba się obejść bez różnych babek, mazurków, jajeczników, serowników i jak się tam jeszcze te gnieciuchy nazywają. Dzięki temu miał człowiek w domu spokój, żona nie kazała uważać, czy się ciasto już wyruszało. Nie pozwolono także malować jajek, nie mógł więc człek okazać swych artystycznych zdolności.

Wielka Niedziela przeznaczoną jest na obżarstwo domowe. Lokale są przeważnie pozamykane, przegryźć co i zwilżyć gardło można tylko w domu lub u znajomych, o ile się wie, że przygotowani są na przyjęcie gości. Bo chyba każdy mi przyzna, że to mniejsza przyjemność siedzieć komuś choćby i kilka godzin na karku i gadać tylko o tem i o owem, a nic nie skosztować. To się nazywa marnowaniem czasu, a powinniśmy pamiętać, że „czas to pieniądz“. Przysłowie to wymyślili Anglicy, stosują się do niego i dobrze im z tem.

Niektórych ze znajomych odwiedzam z tego właśnie powodu w Wielką Niedzielę, znam ich bowiem, że ogromnie się spieszą i na poniedziałek albo nic nie zostaje, albo tylko resztki. A choćbyś był Salomonem, to z próżnego nie nalejesz!

Na resztę, nie tak już gorąco kąpaną, przyjdzie pora w poniedziałek, zwany „oblewanym“. W dniu tym odbywa się na Zwierzyńcu uroczystość „Emausu“, wobec czego popołudnie przeznacza się na odwiedzanie znajomych, mieszkających w tej dzielnicy.

I wtorek liczy się właściwie jeszcze do świąt, choć niem nie jest oficyalnie, w każdym razie wypada wówczas uszanować tradycyę i złożyć uszanowanie przyjaciołom z tamtej strony Wisły. W dniu tym odbywa się tam znów „Rękawka“, która jednak w ostatnich czasach straciła prawie zupełnie swe znaczenie i urok. Na chwałę przecież Podgórza dodam, że mimo to bardzo gościnnie przyjmuje każdego, wychodząc z zasady, że „gość w dom, Bóg w dom“, z zastrzeżeniem jednak, aby to nie był egzekutor podatkowy.

We środę, czwartek, piątek i sobotę trzeba będzie wrócić do zwykłych swych zawodowych czynności, minęły już bowiem bezpowrotnie te piękne czasy, gdy święcone na stole widziałeś przez cały tydzień. Jak wyżej wspomniałem, są domy, gdzie sprzątnięto je już w poniedziałek rano.

Zato w przewodnią niedzielę, kto ma znajomych na Kleparzu, ten może używać, w ten dzień bowiem obchodziło się tutaj zawsze bardzo hucznie święcone. Dziś tu i ówdzie zapomniano o starej tradycyi, są przecież domy, w których i dziś jeszcze kwitną cnoty przodków, mogące służyć za wzór młodemu pokoleniu, które całkiem się odrodziło i w niczem nie jest podobne do ojców i dziadów.

Minie jednak rychło i ten tydzień, ze świąt nie pozostanie i ślad nawet, tu i ówdzie tylko ten lub ów, kto w czasie świętalnym rzetelnie pracował, narzekać będzie na przypadłości żołądkowe i kurować się różnymi domowymi środkami, bo apteczne tak już podrożały, że na łyżkę na przykład oleju rycynowego może sobie pozwolić chyba kamienicznik.

Jak ja jednakowoż święta spędzę, tego nie wiem, wobec czego dopiero w przyszłym numerze będę się mógł pochwalić, com zdziałał. Winna temu drukarnia!... Chłopiec trzy razy przychodził już do redakcyi upominać się o manuskrypt i grozi, że będę mu musiał kazać buty podzelować, bo zdarł podeszwy tylko dzięki mej kronice. Ale nie doczeka tego! Ja sam chodzę teraz w podartych butach, jak na prawdziwego literata przystało, zwłaszcza, że za zelówkę każe sobie pan szewc, czyli szpadała, płacić dziesięć koron!

Tak, strasznych dożyliśmy czasów.

Ale czasy te muszą się poprawić, już choćby tylko ze względu na ową przepowiednię babki ze Śląska, o czem swojego czasu wspominałem i do czego powrócić przyrzekłem.

A właśnie sposobność się zdarza, gdyż wróżba ta połączona jest najściślej ze świętem Wielkiejnocy i uroczystością św. Wojciecha.

Otóż jasnowidząca babka (czy ona żyje jeszcze, czy nie, tego nie wiem) zapowiedziała *urbi et orbi*, że doczekamy się niezależnej Polski dopiero wtedy, gdy święto Wielkanocy zejdzie się razem z uroczystością św. Wojciecha, a stanie się to właśnie w roku 1916. Już się nawet stało, słowa te piszę bowiem w sobotę, Szanowni Czytelnicy ujrzą je zaś dopiero w przyszły czwartek.

Co do tego nie pomyliła się więc babka, bo tego rodzaju zbieg okoliczności może się zdarzyć, czy on jednak będzie miał jaki wpływ na ukształtowanie się politycznych stosunków, tego ja nie wiem, choć owa babka wiedziała. Ale to wiem z doświadczenia własnego, że staruszki lubią prawdę mówić. Więc nie tracę nadziei, że nasza mizerya już się raz przecież skończy.

Pan Asquith może sobie gadać, co mu się podoba, ja wolę wierzyć babce.

Byłby to swoją drogą kolosalny blamaż dla tego rodzaju polityka, gdyby tak babka wzięła nad nim górę, a cała w tem nadzieja, że synowie Albionu nie mają szczęścia do płci nadobnej i stale przez nią zostają pobici, jak to widzieliśmy nieraz na przykładzie walk Anglików z panią Pankhurst i jej politycznemi adherentkami.

Ciekawy zaś jestem, dlaczego też babka ze Śląska miałaby być gorszą od angielskiej sufrażystki.

Jeśli jej przepowiednia się ziści, będę pierwszym, który panu Asquithowi wyrazi na piśmie *votum* nieufności i dopiszę mu, aby sobie dał spokój z polityką, bo do niej nie dorósł. Biedy cierpieć nie będzie, jako bowiem emerytowany minister pensyjkę chyba dostanie.

Pamiętajcie więc, zacni Czytelnicy, o owej babce i w dzień 23. kwietnia wypijcie o jeden kieliszek więcej za jej zdrowie. Można i później!

Należy jednak zachować miarę, na każde konto tylko po jednym kieliszku, by przypadkiem komu nie zaszkodziło, zwłaszcza, że nasze wina węgierskie krajowego wyrobu są silniejsze nawet od Cyganiewicza i potrafią największego chłopa z nóg zwalić. A jakież to potem przykre są następstwa!... Człowiekowi zaczynają się roić po głowie łodzie podwodne, zapada na morską chorobę, traci równowagę moralną, polityczną i cielesną, słowem, choć w obecnej wojnie nie brał udziału, wychodzi z tej potyczki zupełnie, jeśli nie pobity, to w każdym razie rozbity.

Radzę więc ostrożność i umiarkowanie, jak na zrównoważonych obywateli przystało, a każdy, kto mnie usłucha, z pewnością mi później podziękuje.

Tak się o tej babce rozgadałem, że zapomniałem o dwu najważniejszych rzeczach, które zanotowane mam w swej mózgownicy, jako nadające się do omówienia w kronice tygodniowej.

W pierwszym więc rzędzie mam zamiar poruszyć kwestyę nowego czasu letniego, który nam ma zastąpić czas środkowoeuropejski i będzie powodem, że, choć rok bieżący jest przestępny, to jest o jeden dzień dłuższy, miesiąc kwiecień ma być o jedną godzinę krótszy. Kłopot będzie z regulowaniem zegarków, zwłaszcza dla tych, którzy je ulokowali w Zakładzie zastawniczym. Także i niektóre urzędy grożą, że współpracownicy tę godzinę, której brakło w kwietniu, będą musieli odrobić gratis w maju.

Ale i do tego przy sposobności wrócę, bo takiej reformie wypada poświęcić więcej miejsca.

Drugi punkt, o którym mówić mi wypada, to osobliwość, z jaką można spotkać się tylko w stolicy, więc i w Krakowie. Są to wozy tramwajowe z tuszami i kąpielami nasiadowemi, ale tylko w czasie, gdy deszcz pada. Podczas pogody można we wozie siedzieć bez parasola. Tego rodzaju hygienicznie urządzony wóz nosi na sobie, jeśli się nie mylę, liczbę 17. Polecam go gorąco uwadze Dyrekcyi Tramwaju i Publiczności.

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył A. Marczyński. Kraków.

Tata! Tam stojąc na górze,
Na *czwartych-pierwszych* wierzchu,
Wiatrak *pierwsze-trzecie-czwarte,*
Przy odgłosu jego wtórze.
Przy słońca jasnego zmierzchu,
Worki, co tak wiele warte,
Młynarz pakuje na osła,
Wiążąc je pasem z powroza.
Przy wiatraku stoi brzoza,
Co już tyle wiatrów zniosła,
Popękana *trzecia-druga.*
Dziecko niesie *trzecie z czwartem*
I bawiąc się ciągle nań mruga,
Ciągnąc za ogon tak żartem,
Bo nie wie, co ból, co żałość..
Czytelniku! Do rzeźbiarza,
Gdy chcesz wiedzieć, co wyraża
Ta szarada, idź *po całość!*

Równania.

Ułożył A. Marczyński, Kraków

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć każdy tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu imię polskiego komedyopisarza, w drugiem jego nazwisko w trzeciem tytuł jej dzieła

$$\frac{a}{4}+\frac{b}{3}+\frac{c}{3}+\frac{d}{2}=x.$$

$$\frac{e}{2}+\frac{f}{3}=y.$$

$$\frac{g}{3}+\frac{h}{3}+\frac{i}{4}+\frac{j}{3}=z.$$

Znaczenie wyrazów: a) Wąż b) Kraj w Polsce. c) Osławiona Greczynka. d) Asceta indyjski. e) Bohater Tassa f) Pojazd. g) Imię żeńskie h) Inaczej korzyść i) Kwiat. j) Osłoda w smutku.

Trójkąt magiczny.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Z podanych liter ułożyć wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym

a a a a f
g ł ł m
r r n
u t
t

Znaczenie wyrazów: 1. Nazwisko polskiego malarza 2 Rzeka w Azyi 3 Roztwór potażu. 4 Miara powierzchni 5 Spółgłoska

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył A. Marczyński, Kraków.

Po dodaniu spółgłosek otrzymamy znane przysłowie.

– a – – – a – a – – a – a, a – a – – a – a – a.

Logogryf.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy imię, herb i nazwisko osoby, związanej ściśle z polskimi Legionami.

□ — — — — —
□   — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Jarzyna. 2. Drzewo liściaste 3 Kraj w Azyi. 4 Kwiat 5. Przyprawa potraw 6 Roślina skrytokwiatowa. 7 Ptak 8 Imię męskie. 9. Drzewo owocowe. 10 Drzewo szpilkowe. 11 Imię męskie. 12. Prorok żydowski 13 Drzewo liściaste. 14 Owoc 15 Roślina skrytokwiatowa. 16 Gatunek jabłek 17. Jarzyna. 18 Zdrobniałe imię żeńskie. 19 Małpa. 20 Wyraz matematyczny. 21 Roślina pnąca. 22 Rodzaj cygar 23 Bóg grecki. 24. Imię żeńskie. 25 Skorupiak. 26. Papuga. 27. Naczynie.

Grzebieniówka.

Ułożył A Marczyński, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwę miasta na Podolu.

□ □ □ □ □ □ □ □ □
—   —   —   —   —
—   —   —   —   —
—   —   —   —   —

Znaczenie wyrazów: 1 Płaz. 2 Szata. 3 Miara. 4. Miasto w Jonii 5. Imię męskie.

Szarada.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

„*Pierwsze-pierwsze*" dziecię powiada,
A ona temu taka jest rada,
W*spak drugie, czwarte, drugie i trzecie*
Znaczy „i tak dalej", jak wiecie.
Całość, niechaj każdy zgaduje,
Bo na tem zwykle nocuje.

Bilety wizytowe.

Ułożył Z Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód, poszczególnych osób.

DYONIZY WER.

IZRAEL A SNOPSKI

AP. Z. BOJARSKI.

HR. WIT A CASI.

LEON CUWSKI.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Głosy publiczne.

Otrzymaliśmy następujące pismo: Chcąc inwalidom naszym w tutejszej szkole poza obowiązkowemi godzinami praktycznej nauki zapełnić czas czytaniem dzienników i umożliwić im informowanie się o wydarzeniach w świecie, ośmielamy się imieniem Sekcyi upraszać Szanowną Redakcyę o łaskawe umieszczenie w swem cennem piśmie notatki, skierowanej do P. T. Prenumeratorów z prośbą o łaskawe ofiarowanie dla inwalidów i nadsyłanie pod wskazanym niżej adresem pism illustrowanych, książek i broszur o treści beletrystycznej lub popularnych wykładów z jakiejkolwiek dziedziny i wiedzy, w szczególności zaś z zakresu gospodarstwa rolnego, ogrodnictwa, rzemiosła, handlu i przemysłu, w polskim lub ruskim języku pisanych

C. i k. szkoła inwalidów wojennych Lwów, ul Karkowa l 14.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 16.

Logogryf:

W e r o n a
A n g l i a
L h a s s a
L u d w i k
A f r y k a
D o r o t a
O n u f r y
L u b l i n
I r t y s z
D o l i n a

Szarada: Ramajana.

Łamigłówka:

P a r a
o r d a
I r a n
E m i l
A z o r
r a d a
p o r a
a r k a
I w o n
O l e g
I g o r
o s e t

Zagadka: Salon. galon, balon

Łamigłówka literacka: Treny
Emeryt
Trzeci maja
Mistrz Solness
Antony
Jałmużna
Emancypantki
Rozbitki.

Zadania konikowe:

Morfeuszu! Sklej mi oczy,
Niechaj jaki sen uroczy
Zobaczę!

Siedzi sobie ponad Nilem
Ptaszek, zwany krokodylem,
I płacze..

Trójkąt magiczny:

B i r k e w s k i
I n t e n c y a
R o h a t y n
K l a z m a
O w i e s
W i n o
S y n
K u
I

Zadanie do przestawienia: Czego Jaś się nie nauczył, tego Jan nie zmoże

Bilety wizytowe: Proboszcz Wikaryusz Karczmarka. Masztalerz Bibliotekarz

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, F. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała, S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, S. Skowroński Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor.-Ostrawa, S. Grodzicki Praga, K. Kowalski Wiedeń, S. Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, M. Wiśniewska Lwów, S. Bednarski Przemyśl, R. Jędrzejowski Czerniowce, L. Kozłowski Tarnów, Z. Szymanek Nowy Sącz, R. Millerówna Baranów, K Bek Limanowa, E. Winter Stanisławów.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **S. Osadowska, Rzeczyca.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Z głębokiej prowincyi.

W czasie dorocznego jarmarku w jednem z miasteczek wschodnio-galicyjskich, na drzwiach jedynego sklepu fryzyerskiego obserwowano następujące ciekawe ogłoszenie:

Oddzielny salon do fryzowania dam znajduje się na podwórzu w stajni dla krów na lewo.

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia“ Jana Wolnego

Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny) — Telefon Nr. 381.

C. SZCZURKOWSKI

Kraków, Grodzka 2

poleca:

Wełny, Włóczki do robót drutowych, Wyroby z wełny, to jest **Pończochy,** Rękawiczki, Cwetery i t. p.

Miód

zastępuje drogie masło. Bańka pocztowa 5 kg. 10 K. Wysyłka za pobraniem. Cenniki niemieckie lub czeskie wysyła **Fr. Wenzel, Baumschütz Ołomuniec 70.**



PATEFON

(od K 60·— w zwyż, płyty po K 3·—, 5·— i 7·—.

pożądany i wierny towarzysz, rozproszyciel trosk (gra, śpiewa, opowiada)

Posyłajcie go braciom walczacym **w rowach strzeleckich**, koi on ich tęsknotę za domem i krajem.

TADEUSZ BERGER

Kraków, Szewska 22/5

Cenniki na żądanie darmo.

Wojenny zegarek i budzik. Branzoletka z zegarkiem K 12.



Wojenny zegarek z podwójnym relifem J. Ces. M. cesarza Franciszka Józefa I. i Wilhelma II. albo z poczwórnym relifem „Viribus unitis 1914—1916“ w stalowej lub niklowej schowce z dobrym werkiem Anker K 5·—, I. jakości kor. 8·—. Radiowy K 10·—. Prawdziwy srebrny K 15. Budzik kieszonkowy K 20·—. Radiowy K 28·—, odpowiednia skórzana opaska na rękę K 2·— osobno. Branzoletka z zegarkiem z skórzanymi rzemykami duży format K 6.—, radiowy K 10·—, branzoletka z zegarkiem mały format według rysunku K 10·—, 12·—, radiowy K 15·—, 18·—, z precyzyjnym werkiem Anker K 24·—, marki Cyma K 30·—, Omega K 50·—. radiowy K 10·— więcej. Szkło ochronne według rysunku K 2·— i więcej. Wojenny budzik niklowany 30 cm, wysoki K 6·—, 3-letnia gwarancya. Wysyłka tylko za poprzedniem nadesłaniem należytości i 1·— K na opakowanie, opłacone do całych Austro-Węgier i w pole przez **I-szy skład zegarków wojennych**

Max Böhnel, Wiedeń, IV. Margaretenstrasse 27/62.

Od 5 koron każdy zegarek radiową tarczą opatrzony i 10 letnia gwarancya na siłę świetlną. Oryginalny fabr. cennik darmo.

Krem twarzowy jako puder.



Na bok z waszym pudrem, który tylko pory zatyka i z czasem tworzy bruzdy na twarzy. Używajcie **Dr. A. Rixa perłowego pudru-kremu** białego, różowego, kremowego. Puder-krem jest prawnie chroniony, zupełnie nieszkodliwy, żadna szminka. Natychmiast po użyciu otrzymują panie matową delikatną cerę, dla pielęgnowania skóry i piękności niezrównany, dobry i oszczędny w użyciu. Próbna doza K 1·65, duża doza wystarczająca na 4 miesiące K 3·30. Wysyłka ściśle dyskretna.

Kosmetyczne labor. Dr. A. Rixa Wiedeń IX, Lakiergasse 6/F.

Do nabycia **w Krakowie:** Apteka Wiszniewskiego ul. Floryańska 15. Perfumerya Reim i Ska Rynek 37. **We Lwowie:** Perfumerya Składowskiego, apteka pod srebrnym Orłem ul. Krakowska 1. **W Białej:** Droguerya Polaczka ul. Kolejowa. **W Cieszynie:** Schw. Hunddrog i Anckerdrog.

Potrzebny stróż

do

Nowości Illustrowanych.



500 koron

płacę każdemu, jeżeli

— nagniotki —

brodawki, skórę zrogowaciałą nie usunie w trzech dniach z korzeniami bez bólu **Ria-Balsam.** Cena 1 słoika z listem gwarancyjnym K 1·50, 3 słoiki K 4·—, 6 słoików K. 5·50. Tysiączne listy z uznaniem i wdzięcznością.

Kemeny, Koszyce (Kassa), I. fach pocztowy 12—285, Węgry.

BOBO PUDER BEZ MĄKI DLA DZIECI



zestawiony na podstawie najnowszych badań nauk.

BOBO chroni skórę przed odparzeniem
BOBO wchłania wilgoć znakomicie
BOBO działa antyseptycznie
BOBO nie tworzy podłoża dla bakteryi, ponieważ nie zawiera mąki (skrobi), która kiśnie. — **BOBO** najlepsze mydło dla dzieci. — Każda matka, dbająca o zdrowie dziecka, używa tylko pudru i mydła **BOBO.** — Proszę żądać we wszystkich aptekach i drogueryach. **Skład: „Pharma“, Długa 5.**

KINO-WANDA

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

— WYROBY KRAJOWE —

Rok złoż. 1880. **D. Béze** Rok złoż. 1880.

Zakopane, Krupówki.

WIELKI WYBOR PERFUM.

Pamiątki patryotyczne. Wielki wybór biżuteryi francuskiej i fantazyjnej. **MOZAIKI.** Prawdziwe granaty.	Wyroby rzeźbione Zakopiańskie. Wyroby **skórzane** Wielki wybór **torebek** damskich.	Wielki wybór **ZABAWEK. Lalki** Krakowianki. **Laski i toporki.** Kartki korespondencyjne illustrowane.

3

(Łagodnym środkiem przeczyszczającym), który wzmacnia żołądek, a żołądka nie drażni, są Fellera pobudzające apetyt pigułki rumbarbarowe z marką „Elza“. 6 pudełek franko 4 kor. 40 hal. Aptekarz E. V. FELLER, Stubica, plac Elzy Nr. 127 (Kroacya). Przeszło 100.000 listów dziękczynnych. Także dla Fellera „Elza-fluidu“ znanego środka, ból uśmierzającego. (f)

Rowery Ryval



są przecież najlepsze!

K 145 kompletny z torpedem, lampą acetylinową, dzwonkiem, torbą z przyrządami, Pompa potaniała, płaszcze na wszystkie ceny. Pedały za parę K 3·—. Łańcuchy K 3·50. Latarnia K 1·95. Rączki 30 hal. Ochraniacz od błota K 2·25. Lampy kieszonkowe i baterye, maszyny do szycia i m. do mówienia. Cenniki Nr. 140 darmo i opłacony. Specyalne ceny dla kupców.

Specyalny Dom przemysłu rowerowego

G. Wondrak

Wiedeń, III. Hauptstrasse 144.

Kupuję i sprzedaję

złoto, srebro, brylanty

płacąc najwyższą cenę. Zakład zegarmistrzowski i jubilerski **Józef Cyankiewicz, Kraków, Sławkowska 24, dom XX. Emerytów**

Potrzebny zaraz trawiacz

do

Nowości Illustrowanych.

Potrzebny uczeń

do

drukarni i kliszarni

Nowości Illustrowanych.

Jedyny w Stanisławowie który posiada własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia“ FELIKSA ANTONIEGO MAYERA

Stanisławów, ulica Sapieżyńska L. 65 (dom własny). — Telefon Nr. 79.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madajskiego